

Jedzie nocny pociąg mija Białolekę ułóż gwizdże,
Janku, więzienną piosenkę...

/Jan Krzysztof Kelus, Polski Broadside/

bibuła

Stowarzyszenie Wolnego Słowa

sws.org.pl

ISSN 1733-6252

czerwiec 2011

Grzegorz Majchrzak

Kryptonim „Jodła”

Tuż przed 13 grudnia optymiści mówili, że prędzej czy później wywiozą nas na Sybir, pesymiści, że nie wywiozą, ale każą pójść pieszo. Czekaliśmy na nieuchronną, zdawałoby się, interwencję sowiecką. Wejdą, nie wejdą? Pytanie to trafiło do kabaretu, ale stawiane było na poważnie. Weszli, ale inaczej. Posłużyli się generałem – premierem – pierwszym sekretarzem, który wysłał przeciwko Polakom czołgi, a kogo się dało zapuszkował w obozach internowania. Jednym z najsłynniejszych była podwarszawska Białoleka. O tym osobliwym miejscu odosobnienia, i reakcjach świata i Polaków na niebывale wydarzenie, jakim było wypowiedzenie wojny własnemu narodowi, chcemy powiedzieć to i owo w bieżącym zeszycie Bibuły. js

SIEDZĄ BABY W ARESZCIE

Siedzą baby na grochu
I myją się po trochu – chlap!
Ze zał babie urody
Więcej kremu niż wody – tu!
Siedzą baby w areszcie
Mają spokój nareszcie – ach!
Z łóżek długo nie wstają
I nogami fikają – bach!
Robią mały roberek
Karteczkami z pudełek – szlem!
Angielskiego się uczą
I paczkami się tuczą – Am!
Kiedy wrócą do życia
Pewnie pękną z utycia – w szwach!
Jedna za mąż wychodzi
Mąż daleko – nie szkodzi – ślub!
Na spacerki biegają
Potem sobie śpiewają – ach!
Jak wrócimy do domu
Nie powiemy nikomu, jak nam było – tu!
Mówią o nas, że siły
Chcą byśmy tu pognily – fe!
My się wronie nie damy
I wyjdziemy jak damy – he!
A wy – nasze chłopaki –
Kto was wsadził do paki – kto?
Wsadzili was ubeki
Ze stołecznej bezpieki i juź!

Cela nr 4 w Olszynie Grochowskiej, styczeń 1982
W celi nr 4 były wówczas: Elżbieta
Jezierska-Ziemkiewicz, Ewa Komorowska,
Gaja Kuroniowa, Renata Majewska, Iwona
Matuszek, Agnieszka Romaszewska-Guzy
(Panna Młoda), Halina Stefanowska,
Grażyna Zajączkowska



©Mark Carrot*

Akcja internowania działaczy NSZZ „Solidarność” i innych niezależnych organizacji funkcjonujących na początku lat 80. była z pewnością jedną z najważniejszych (jeśli wręcz nie najważniejszą) operacji stanu wojennego. Od niej bowiem w znacznej mierze zależny był opór społeczny i jego skala w dniu 13 grudnia 1981 r. i dniach następnym.

Prace nad przygotowaniem tej operacji (początkowo o kryptonimie „Wrzos”, zmienionym po ucieczce na Zachód Ryszarda Kuklińskiego), podobnie jak nad wprowadzeniem stanu wojennego, trwały

wiele miesięcy. Najstarsza z przygotowanych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych list osób przewidzianych do internowania pochodzi z 28 października 1980 r. Półtora tygodnia później, jak stwierdzał podczas posiedzenia kierownictwa MSW przedstawiciel „liberalnego skrzydła” w resorcie spraw wewnętrznych wiceminister Adam Krzysztoporski, planowano zatrzymanie „dużej liczby osób, może około 30-40 tys., na wstępie operacji, a później może jeszcze dwa – trzy razy więcej”. Te liczby mogą szokować. Szczególnie, jeśli uzmysłowimy sobie, że 60-120 tys. nowych

zatrzymanych nie były w stanie pomieścić nawet peerełowskie więzienia. Bardzo prawdopodobne, iż wcielenie tych planów w życie wymagałoby zastosowania wariantu chilijskiego czyli przetrzymywania internowanych na stadionach.

Taka liczba osób „przewidzianych do izolacji” w wykazach przygotowanych przez poszczególne komendy wojewódzkie Milicji Obywatelskiej przestaje zresztą dziwić, jeśli uwzględnimy, że umieszczono na nich nawet znajdujących się w po-

Kryptonim „Jodła”

CDN ze str. 1

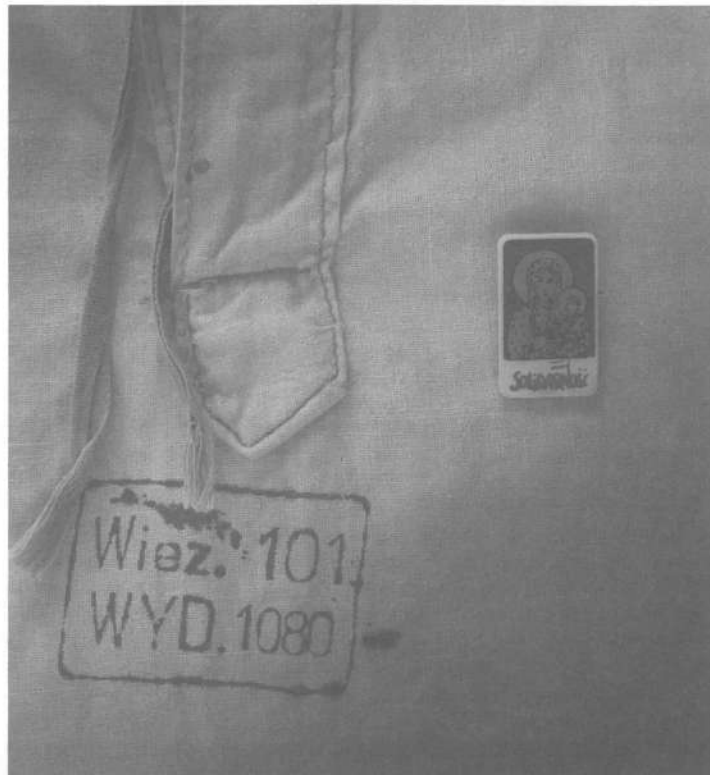
deszłym wieku żołnierzy Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” i Armii Krajowej oraz działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Notabene w zestawieniu z 31 października 1980 r. znalazło się „jedyń” 1200 osób.

Na potrzeby operacji internowania utworzono (formalnie w dniu 13 grudnia), na podstawie wspólnego zarządzenia ministrów spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, 46 ośrodków odosobnienia. Nie trzeba chyba dodawać, że właściwie miejsca wybrała wcześniej Służba Bezpieczeństwa (przeważnie stosując zasadę „jak najdalej położone od ośrodków miejskich i dużych skupisk ludzkich”). W kolejnych miesiącach stanu wojennego tworzone następne „internaty”. Łącznie (według danych władz więziennych) internowanych przetrzymywano w 52 miejscach.

Choć operację o kryptonimie „Jodła” (czyli internowanie wytypowanych wcześniej osób) wyznaczono na godzinę 24.00, to faktycznie rozpoczęto ją co najmniej godzinę przed północą czyli jeszcze przed formalnym wprowadzeniem stanu wojennego.

Jak można przeczytać w jednym z opracowań resortu spraw wewnętrznych z jesieni 1983 r.: „Internowania to po raz pierwszy zastosowana przez nas forma walki z przeciwnikiem i to na tak masową skalę.” Rzeczywiście, była to operacja masowa. Ogółem w okresie stanu wojennego wydano 10 132 decyzje o internowaniu w stosunku do 9736 osób (396 decyzji dotyczyło osób internowanych ponownie, np. Jan Beszta-Borowski zwolniony pod koniec grudnia 1981 r., został ponownie internowany we wrześniu 1982 r.). Wśród nich znalazło się 8728 mężczyzn i 1008 kobiet. Według danych MSW z lutego 1982 r. przeważnie były to osoby młode – osoby do lat 40 stanowiły wówczas 72% internowanych. Z kolei jedynie 8% było mieszkańcami wsi.

Już pierwszej nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. internowano 3173 osoby, w tym zdecydowaną większość członków Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Internowania udało się uniknąć jedynie nielicznym przywódcom „Solidarności” (byli to m.in. Zbigniew Bujak, Władysław Frasiński, Bogdan Lis czy Mieczysław Gil). Wolności pozbawiono nie tylko przywódców i doradców NSZZ „Solidarność”, ale również działaczy innych niezależnych organizacji społeczno-politycznych (Niezależnego Zrzeszenia Studentów, NSZZ Rolników Indywidualnych, Klubów Inteligencji Katolickiej, Konfederacji Polski Niepodległej, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Ruchu Młodej Polski i innych), a także członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej popierających demokratyzację kraju i zaangażowanych w tak zwane „poziomki”, czyli struktury po-



ziome w partii, i funkcjonariuszy MO próbujących tworzyć Związki Zawodowe Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Internowano również (oddzielnie) byłych przywódców partii i państwa, z byłym I sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR Edwardem Gierkiem na czele, a także kryminalistów.

W szczytowym okresie (czyli 21 grudnia 1981) w „ośrodkach odosobnienia” przebywało 5128 internowanych, w tym 313 kobiet. Warto w tym miejscu przypomnieć, że zdarzało się, iż w ten sposób wolności pozbawiano całe rodziny. Chyba najbardziej znanym przykładem jest rodzina Kuroniów. Oprócz Jacka Kuronia, internowano również jego żonę Grażynę (Gaje) oraz syna Macieja. Zdarzało się, iż ekipa przychodząca po męża spotykała się na schodach z funkcjonariuszami zmierzającymi po żonę. W tym przypadku dodatkową szykaną wobec osób zatrzymanych było umieszczanie dzieci nie u najbliższej rodziny, ale w domu dziecka.

Nota bene niektóre osoby internowane były zwalniane nawet po jednym, dwóch dniach pobytu w „ośrodku odosobnienia”. Najbardziej chyba znany, a przynajmniej najgłośniejszy przypadek tego rodzaju to kierownik przewodniczącego „Solidarności” Mieczysław Wachowski, zwolniony 14 grudnia.

Wraz ze stopniowym łagodzeniem rygorów stanu wojennego liczba ośrodków, w których przetrzymywano internowanych, ulegała zmniejszeniu. Znaczną część osób, w tym wszystkie kobiety, zwolniono w lipcu i sierpniu 1982 r. Wówczas to stan internowanych zmniejszył się do 561 osób, a liczba ośrodków internowania u-

gła zmniejszeniu do 14. Najbardziej opornych trzymano w „izolacji” aż do grudnia 1982 r. – ostatnie 62 osoby zwolniono 23 grudnia 1982 r.

Jednak niektórzy internowani nie wychodzili na wolność, lecz trafiali do więzień, jak np. Andrzej Gwiazda (nota bene w przeddzień likwidacji ośrodka internowania w Białolece). Taki los spotkał działaczy Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” i Komitetu Obrony Robotników, którym, mimo abolicji na czyny sprzed wprowadzenia stanu wojennego, władze planowały wytoczyć proces za działalność przed 13 grudnia 1981 r. Zresztą zmiana statusu z internowanego na aresztowanego nie należała bynajmniej do rzadkości. Wobec 424 osób uchylono decyzję o internowaniu ze względu na ich tymczasowe aresztowanie, a kolejnych 116 osób spośród zwolnionych z ośrodków internowania zostało następnie tymczasowo aresztowanych ze względu na podjęcie działalności sprzecznej z prawem [stanu wojennego].

Warto przypomnieć, że wśród internowanych można było wyróżnić (oczywiście jedynie ze względu na sposób potraktowania przez władze) trzy grupy. Pierwszą z nich stanowili peerelowscy promieniści (łącznie 36 osób) internowani w Głębokiem, a następnie od lutego 1982 r. w znacznie lepszych warunkach w Promniku pod Warszawą (na tę zmianę zdecydowano się po zawale i śmierci Zdzisława Grudnia, członka Biura Politycznego KC PZPR w latach 1975–1980). Drugą grupę (najmniej liczną, bo dwuosobową) stanowili Lech Wałęsa i Jan Kułaj, którzy, jako szefowie związków zawodo-

wych, zostali zaliczeni do „osób pełniących w PRL funkcje kierownicze” i zostali (w związku z planami ich wykorzystania) internowani oddzielnie. Wałęsa najpierw w Otwocku, a potem w Chylicach i Arłamowie, a Kułaj w Otwocku. Obaj znajdowali się „pod ochroną” Samodzielnej Grupy Ochronnej Biura Ochrony Rządu MSW. Trzecią grupę internowanych stanowiły pozostałe osoby. Oczywiście warunki, w jakiej przebywały osoby z tej grupy znacznie różniły się między sobą – od oddziałów więziennych po (odpowiednio przystosowane) ośrodki wypożyczkowe.

Z internowanymi rozmowy operacyjne przeprowadzali funkcjonariusze SB. Służyły one z jednej strony zdobywaniu informacji o funkcjonowaniu struktur niezależnych (głównie NSZZ „Solidarność”) przed 13 grudnia, a także wymuszeniu deklaracji lojalności (zawierały one zobowiązanie do „zaprzestania wrogiej działalności szkodliwej dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” oraz do „przestrzegania obowiązującego porządku prawnego”). Lojalności były w pierwszym okresie stanu wojennego warunkiem zwolnienia z internowania. Notabene osoby, które nie zostały początkowo wyznaczone do internowania, a „jedyń” do rozmów ostrzegawczych, które nie podpisały deklaracji lojalności, były internowane. Wracając do rozmów operacyjnych przeprowadzanych przez SB z internowanymi, ich ostatnim (choć wcale nie najmniej ważnym celem) był werbunek agentury wśród internowanych. W tym przypadku „najbardziej owocne” okazały się pierwsze dni po 13 grudnia i panująca wśród pozbawionych wolności atmosfera niepewności co do dalszych losów.

Warto wspomnieć, że w ośrodkach internowania znaleźli się również tajni współpracownicy SB, co z jednej strony miało służyć ich uwiarygodnieniu, a z drugiej pozwolić zdobyć informację o osobach internowanych, ich postawach, poglądach czy zamierzeniach. Najbardziej chyba znanym przedstawicielem tej grupy był Elżbieta Naszkowski, przewodniczący regionu pińskiego, i jeden z dwóch tajnych współpracowników SB, którzy nagrali 3 grudnia 1981 r. posiedzenie Prezydium KK i przewodniczących zarządów regionalnych NSZZ „Solidarność”. Nagranie po odpowiedniej „obróbce” zostało wykorzystane jako propagandowe uzasadnienie konieczności wprowadzenia stanu wojennego.

Odzielną kwestią były próby „reedukacji”, jakim poddawano, raczej z mizernym skutkiem internowanych.

Tak na marginesie, internowania (obok oczywiście aresztowań) nie wyczerpywały stosowanych przez władze PRL sposobów pozbawiania wolności działaczy opozycji po 13 grudnia 1981 r. Innym, wciąż najmniej znanym, pozostają „szkolenia wojskowe” organizowane jesienią 1982 r. dla „solidarnościowej ekstremy”, ale to oddzieli temat.

OBWIESZCZENIE

o wprowadzeniu stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa

Kierując się potrzebą zapewnienia wzmożonej ochrony podstawowych interesów państwa i obywateli, w celu stworzenia warunków skutecznej ochrony spokoju, ładu i porządku publicznego oraz przywrócenia naruszonej dyscypliny społecznej, a także mając na względzie zabezpieczenie możliwości sprawnego funkcjonowania władzy i administracji państwowej oraz gospodarki narodowej – działając na podstawie art. 33 ust. 2 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – Rada Państwa wprowadziła stan wojenny.

W związku z tym podaje się do publicznej wiadomości, że na czas obowiązywania stanu wojennego w szczególności:

- zakazane zostało zwoływanie i odbywanie wszelkiego rodzaju zgromadzeń, pochodów i manifestacji, a także organizowanie i przeprowadzanie zbiórek publicznych oraz imprez artystycznych, rozrywkowych i sportowych bez uprzedniego uzyskania zezwolenia właściwego terenowego organu administracji państwowej, z wyjątkiem nabożeństw i obrzędów religijnych odbywających się w obrębie kościołów, kaplic i innych miejsc przeznaczonych wyłącznie do tych celów;
- zakazane zostało rozpowszechnianie wszelkiego rodzaju wydawnictw, publikacji i informacji każdym sposobem, publiczne wykonywanie utworów artystycznych oraz użytkowanie jakiegokolwiek urządzeń poligraficznych bez uprzedniego uzyskania zgody właściwego organu;
- zawieszono zostało prawo pracowników do organizowania i przeprowadzania wszelkiego rodzaju strajków oraz akcji protestacyjnych;
- nałożony został na osoby przebywające w miejscach publicznych obowiązek posiadania przy sobie dokumentu stwierdzającego tożsamość, a w stosunku do uczniów szkół mających ukończone lat 13 – legitymacji szkolnej lub tymczasowego dowodu osobistego;
- wprowadzony został obowiązek uprzedniego uzyskiwania zezwolenia właściwego terenowego organu administracji państwowej na pobyt stały w strefie nadgranicznej, a organu Milicji Obywatelskiej na pobyt czasowy w tej strefie;
- zakazane zostało uprawianie turystyki oraz sportów żeglarskich i wioślarskich na morskich wodach wewnętrznych i terytorialnych.

Ponadto w czasie obowiązywania stanu wojennego, w zakresie powszechnego obowiązku obrony Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej:

- poborowi uznani za zdolnych do służby wojskowej oraz żołnierze rezerwy niezależnie od ich przeznaczenia mogą być w każdym czasie powołani do czynnej służby wojskowej, na zarządzenie Ministra Obrony Narodowej;
- określone jednostki organizacyjne administracji państwowej i gospodarki narodowej, wykonujące zadania szczególnie ważne dla obronności i bezpieczeństwa państwa, objęte zostały militaryzacją, co oznacza nałożenie na osoby zatrudnione w tych jednostkach szczególnych obowiązków, o których osoby te zostaną poinformowane przez kierowników zakładów pracy;
- osoby przeznaczone do służby w określonych formacjach obrony cywilnej mogą być zobowiązane do pełnienia czynnej służby w obronie cywilnej w czasie i zakresie wynikającym z wykonywanych zadań;
- obywatele mogą być zobowiązani przez właściwe terenowe organy administracji państwowej i organy administracji wojskowej do wykonania określonych świadczeń osobistych i rzeczowych na rzecz obrony państwa.

W czasie obowiązywania stanu wojennego, jeżeli będą tego wymagały interesy ochrony spokoju, ładu i porządku publicznego, uprawnione organy administracji państwowej mogą również:

- wprowadzić ograniczenia swobody poruszania się mieszkańców w określonym czasie i miejscach przez wprowadzenie godziny milicyjnej albo zakazu opuszczania lub przybywania do określonych województw, miast i gmin;
- nałożyć obowiązek uprzedniego uzyskiwania zezwolenia właściwego terenowego organu administracji państwowej na zmianę miejsca pobytu, polegającą na przeniesieniu się do innej miejscowości na czas dłuższy niż 48 godzin oraz obowiązek niezwłocznego zameldowania się w nowym miejscu pobytu;
- zawiesić działalność stowarzyszeń, związków zawodowych, zrzeszeń oraz organizacji społecznych i zawodowych, których działalność sta-

nowi zagrożenie dla interesów bezpieczeństwa państwa, z wyjątkiem kościołów i związków wyznaniowych;

- wprowadzić cenzurę przesyłek pocztowych, korespondencji telekomunikacyjnej oraz kontrolę rozmów telefonicznych;
- zobowiązać posiadaczy radiowych urządzeń nadawczych i nadawczo-odbiorczych do złożenia tych urządzeń do depozytu we wskazanych miejscach;
- zobowiązać posiadaczy broni palnej krótkiej oraz broni myśliwskiej i sportowej, a także posiadaczy amunicji i materiałów wybuchowych do złożenia ich we wskazanych miejscach;
- zakazać dokonywania zdjęć fotograficznych i filmowych oraz obrazów telewizyjnych określonych obiektów i miejsc albo na określonych obszarach;
- zakazać używania określonych odznak i mundurów;
- wstrzymać lub ograniczyć pracę określonych urządzeń łączności oraz wykonywanie usług łączności pocztowej i telekomunikacyjnej;
- zawiesić lub ograniczyć przewóz osób i rzeczy w transporcie drogowym, kolejowym, lotniczym i wodnym oraz ruch pojazdów mechanicznych na drogach publicznych;
- zamknąć lub ograniczyć graniczny ruch osobowy i towarowy przez przejścia graniczne.

W czasie obowiązywania stanu wojennego osoby naruszające wprowadzone zakazy, nakazy, obowiązki i ograniczenia, podlegają obojętnej odpowiedzialności karnej za przestępstwa lub wykroczenia w postępowaniu doraźnym i przyspieszonym.

Osoby, mające ukończone lat 17, w stosunku do których istnieje uzasadnione podejrzenie, iż pozostając na wolności prowadzić będą działalność zagrażającą bezpieczeństwu państwa mogą być internowane w ośrodkach odosobnienia na czas obowiązywania stanu wojennego – na podstawie decyzji komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej.

W stosunku do osób pełniących służbę wojskową i służbę w jednostkach zmilitaryzowanych oraz służbę w obronie cywilnej – stosowana będzie za przestępstwa popełnione w związku z tą służbą odpowiedzialność karna przed sądami wojskowymi według przepisów odnoszących się do żołnierzy w czynnej służbie wojskowej w czasie wojny.

Podaje się również do publicznej wiadomości, że w przypadkach zbiorowego lub indywidualnego bezpośredniego zagrożenia życia, zdrowia lub wolności obywateli albo mienia społecznego, indywidualnego lub osobistego znacznej wartości, a także zagrożenia lub zajęcia budynków administracji państwowej i organizacji politycznych oraz ważnych obiektów i urządzeń gospodarki narodowej albo obiektów ważnych dla obronności lub bezpieczeństwa państwa, obok indywidualnych i zespołowych działań funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i innych formacji powołanych do ochrony porządku publicznego mogą być wprowadzone oddziały i pododdziały sił zbrojnych /wojska/, przy czym wszelkie te sily uprawnione są do użycia środków przymusu bezpośredniego w celu przywrócenia spokoju, ładu i porządku publicznego.

Wzywa się wszystkich obywateli do bezwzględnej przestrzegania wprowadzonych zakazów, nakazów i ograniczeń oraz wykonywania innych nałożonych obowiązków, a także podporządkowania się wszelkim zarządzeniom uprawnionych władz, wydanym w celu zapewnienia spokoju, ładu i porządku publicznego oraz umocnienia dyscypliny społecznej.

PRZEWODNICZĄCY RADY PAŃSTWA
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

Jerzy Kisielewski

Wysyłanie gołębia

13 grudnia 1981, Polska jest na czołówkach mediów całego świata. Martial law in Poland. Etat de siege en Pologne, krzyczą nagłówki. Zamknięte granice, przerwane połączenia telefoniczne, Polska w izolacji od reszty świata. Czołgi na ulicach, godzina milicyjna, tysiące internowanych. Światowa opinia publiczna – w szoku.

Opowiada Jerzy Kisielewski, dziennikarz radiowy i telewizyjny, w latach 80. warszawski korespondent włoskiej agencji ANSA.

Jesienią 1981 r. zadzwonił do mnie znajomy z francuskiego dziennika La Croix i mówi:

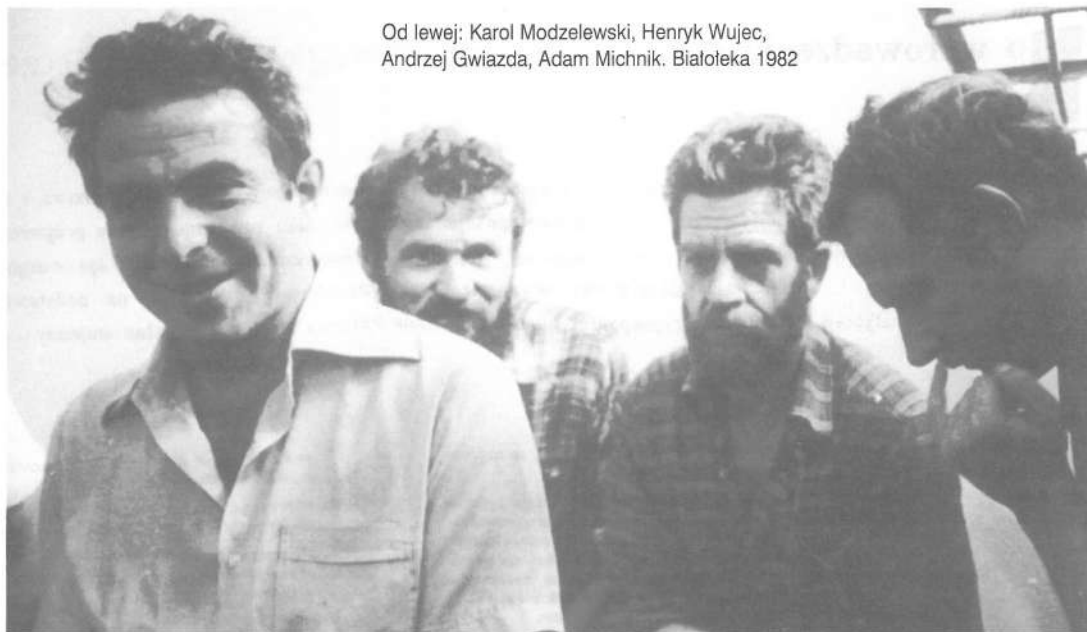
- Słuchaj, tutaj panuje psychoza, że Rosjanie mogą wejść do Polski.
- Oni nie tylko mogą wejść – ja na to – oni już tu są.
- Jak to?
- Słuchaj – mówię – Od 1946 jest ich tutaj czterdzieści tysięcy na okrągło.
- Wiesz, masz dziwne poczucie humoru.

Między sierpniem a grudniem Polska jest nieustannie na pierwszych stronach gazet. Od sierpnia na stałe są tu obecne ekipy telewizji ABC, BBC, CBS, NBC, do tego dwie telewizje niemieckie. Każda wiadomość z Polski „sprzedaje się” w miarę jak świat przekonuje się, że Solidarność zrobiła wyłom w systemie komunistycznym. Jestem wówczas dziennikarzem ANSY, najmniejszej z dużych agencji i największej włoskiej. Dziennie wysyłamy kilkanaście depeesz.

12 grudnia dość późno, ale jeszcze przed dwunastą, zamykam biuro, z zamiarem powrotu nazajutrz rano. Mój szef Francesco Bigazzi jest na obradach Komisji Krajowej w Gdańsku. Kiedy rano orientuję się, że nic nie działa, jadę do biura, żeby zobaczyć czy jest obstawione i czy zamykają prasę zagraniczną.

Powoli zbierają się wszyscy (na jednym pięttrze mieszczą się biura AFP, ANSA, Reuters, Associated Press i UPI), rano działają jeszcze sztywne łącza: AFP – do Wiednia, Associated Press – do Frankfurtu. Potem łączność kolejno pada. Jako ostatnie działa łącze UPI, do dziś pamiętam jak stojmy w kolejce, żeby wysłać nasze depeesze, panuje pełna solidarność prasy zagranicznej. PAP przekazuje po angielsku, że ze względu na zagrożenie państwa wprowadzono stan wojenny. Z kolejnymi godzinami pojawiają się nowe informacje. Ze Rada Państwa zebrała się, żeby ogłosić stan wojenny w momencie, kiedy czołgi były już na ulicach. Potem przychodzi wiadomość, że Ryszard Reiff, prezes PAX-u, jako jedyny członek RP głosował przeciw. To też przekazujemy.

Wkrótce dowiadujemy się, że odtąd depeesze będzie można wysłać po angielsku i francusku przez obsługujący dzien-



Od lewej: Karol Modzelewski, Henryk Wujec, Andrzej Gwiżdza, Adam Michnik. Białoleka 1982

nikarzy zagranicznych Interpress, ale będą poddane kontroli, co stawia dziennikarzy mediów zagranicznych przed dylematem im nieznanym: czy poddać się cenzurze, czy nie. My się wahamy: czy wysłać depeesze i napisać, że przechodzi przez cenzurę wojskową? Pytanie: na ile jesteśmy wiarygodni? Czy ocenzurowany tekst to już kłamstwo, czy ostrzyżona przez cenzurę prawda? Czy odbiorcy naszych depeesz w centrali ewentualnie w redakcjach gazet, rozumieją jakiej presji podlegamy?

My sami, dziennikarze, wychodząc z roli „chłodnego oka”, zdajemy sobie sprawę, jak ważna jest każda informacja, która dotrze na Zachód, bo mamy poczucie, że panuje pewna konfuzja. Pierwsze godziny to niedosyt detali. Miliony ludzi w Polsce nie wiedzą, i tego lęku nie można darować Jaruzelskiemu, co się stało z ich bliskimi. I te wątpliwości, które my mamy (także jako dziennikarze), są wątpliwościami polityków na świecie. Ile ludzi siedzi w więzieniach? Dziesięć, a może sto tysięcy? Strzela się do ludzi, czy nie strzela? Czy urząda się procesy? Czy ktoś strajkuje? A w rezultacie, w zależności od tego, jaki od nas wyjdzie przekaz, taka będzie reakcja świata. Co zrobią Amerykanie?

– Proszę Pana, nie było żadnej strategii – usłyszałem od Richarda Pipesa podczas zorganizowanej w Jachrance w 15-lecie wprowadzenia stanu wojennego konferencji – jedynym pomysłem były sankcje ekonomiczne.

Podstawowe pytanie, jakie pojawia się na Zachodzie, to: co z Wałęsą? (astronomiczne sumy oferowały agencje fotograficzne za zdjęcie internowanego Wałęsy.) I inne pytania: co z obcokrajowcami w Polsce? Co z przywódcami: Frasińskim, Bujakiem? Co zrobi Moskwa? Jak zareaguje polski Kościół? Co powie papież?

Bulwersująca jest dla świata skala całej akcji. Okazuje się, że średniej wielkości kraj można odciąć od świata, użyć do tego wojska, że można zrobić blitz Jaruzelskiego, wprowadzić stan wojenny w mediach, zamrozić kraj. Oslupienie, połączone z pewnym „podziwem” dla skuteczności. I konkluzja: koniec z marzeniami, nie da się zrobić wolnego związku zawodowego za murem. Polski eksperyment się nie powiódł. Skojarzenia pierwszych dni stanu wojennego z 1956 i 1968 rokiem jest początkowo w światowych mediach jednoznaczne. I kiedy dziennikarze i politycy na świecie zadają sobie pytanie: będą czy nie będą strzelać do ludzi, to po masakrze w kopalni Wujec można powiedzieć: strzelają do ludzi. I to do kogo? Do górników.

Na początek obecni w Polsce korespondenci wybierają metodę nazywaną potocznie „wysyłaniem gołębia”. Ci, którzy mieli dobre kontakty ze swoimi ambasadami, wysyłają teksty „par la valise diplomatique”, z ambasad, które nie mają zerwanej łączności. Radiowcy są pozbawieni możliwości przekazywania informacji, korespondenci telewizyjni korzystają z oficjalnych obrazów i łączy. Furorę robi aparat Minox, bo to nim robione są zdjęcia ulicy, wojska, zdjęcia przemyczone z „internatów”, z każdej manifestacji, zadymy. Reporterzy i fotoreporterzy zaczynają docierać na dworce, zwracając się do ludzi wpływających promami, kierowców ciężarówek, tirów, które miały wyjechać z Polski. Pytają, czy nie przewiozą rolki filmu, artykułu, oczywiście bez gwarancji, że to dotrze. Chodzi o przekazanie materiału do najbliższej redakcji. Nowsem jest wszystko, liczy się każda wiadomość, nawet ta, która dociera z pewnym opóźnieniem. Korespondencje „na żywo” nie istnieją. W agencji jesteśmy odcięci od zwrotu, ser-

wisów własnych. Tracimy ogłęd świata, pozostaje nam, tak jak innym, Wolna Europa. Zaczyna się normalna konspira: Leszek Szaruga co czwartek przynosi mi biuletyny, czy potem „Tygodnik Mazowski” i wymieniamy się informacjami.

Zagraniczne media, które mają w Polsce korespondentów, potrafią odróżnić informację od dezinformacji. Dezinformacja pochodzi z polskich mediów, z konferencji prasowych Urbana. Z zewnątrz na razie nikt nie przyjeżdża. Pamiętam, że od 1 stycznia mój szef mówi: anno nuovo, vita nuova, próbujemy pisać przez cenzurę, z wyraźnymi zastrzeżeniami. Wysyłamy depeesze wyłącznie z minimalnymi ingerencjami i raczej koncentrujemy się na opisywaniu tego, co widać na ulicy, co się dzieje. Taki goły opis sytuacji, żeby nasi odbiorcy zrozumieli, że nie możemy dawać ocen. Robimy tak, bo w pewnym momencie dowiadujemy się, że jeśli będziemy pisać o faktach, to teksty nie będą cenzurowane. Wobec tego mój szef Bigazzi występuje o przepustkę. Chce pojechać do Nysy, by sprawdzić, co dzieje się z rodziną jego żony (Polki). Po powrocie słyszy: może Pan napisać tylko to, co Pan widział. Opisuje więc drogę z Warszawy do Nysy, i Reuters tę depeesze cytuje. Jest to pierwsza depeesza dziennikarza zagranicznego opisująca jak wygląda Polska po 13 grudnia. To, że po drodze spotkał pięć samochodów jest interpretowane jako skutek wstrzymania sprzedaży paliwa. Nie przypuszczano, że powodem może być zakaz swobodnego podróżowania po Polsce.

Głód informacji o Polsce jest ogromny. Dziennikarze, którzy już tu są, nie wyjeżdżają, bojąc się, że nie zostaną wpuszczeni z powrotem. I kiedy nasz włoski kolega Giulio Gelibter opuszcza Polskę, bo kończy mu się wiza, wyruszając pierwszym możliwym transportem do Berlina,

tam dopadają go dziennikarze wszelkich mediów, żeby zrobić z nim wywiad, posłużyć się jego opowieścią. Jest cytowany przez wszystkie możliwe media.

Dziennikarze nie są chłodni. Wszyscy żyją emocjami. Trzeba uważać, żeby nie przesadzić. Ten, kto czyta artykuły Bernarda Guetty w *Le Monde* wie, że będą to informacje z kręgów Solidarności. Bo przyjacielem i głównym informatorem Guetty jest Bronisław Geremek, coraz bardziej rozpoznawalny przez kręgi intelektualne we Francji. Paradoksalnie we Włoszech rzetelnym źródłem informacji jest komunistyczna gazeta *Unita* – jej korespondent, Romolo Caccavale, w młodości prawdziwy włoski komunista, postanawia, że do końca życia będzie pisał prawdę, kiedy zaczyna zajmować się pisaniem o przekrętach komunizmu, także w Polsce. To jest facet, który jechał, widział, i pisał. I nagle *Unita* staje się źródłem uczciwych, dobrze napisanych artykułów.

Szczególnie prasa amerykańska, entuzjastyczna wobec Solidarności, nie ma wątpliwości: Jaruzelski wypowiedział wojnę narodowi i tak to się tam określa: wrogiem jest Solidarność, a liczy 10 milionów. Powtarza się słynne powiedzenie generała Haiga, że Jaruzelski to sowiecki oficer w polskim mundurze. Amerykanie nie mają złudzeń. Czy Jaruzelski walczy z narodem, czy go ratuje wobec presji Rosjan – to raczej dylematy części prasy europejskiej. Tu nie ma tak jednoznacznego potępienia; dziennikarka *Die Zeit* widzi nawet w Jaruzelskim kontynuatora Piłsudskiego, co rozjusza Polaków na emigracji. Jednak argument mniejszego zła sprzedaje się raczej słabo, a emocje czytelników są na ogół po stronie Solidarności. W tych pierwszych dniach, kiedy przychodzi informacja o strzelaniu do robotników, trudno kogoś przekonać, że Jaruzelski jest mężem opatrnościowym. Porównuje się go z Pinochetem. Opis sytuacji zależy od tego, czy gazeta dysponuje kimś, kto jest w stanie zinterpretować fakty (jak np. Georges Minc we Francji), żeby móc iść dalej w komentarzach, czy nie, a wtedy raczej pozostawia sam dramatyczny opis, tego, co się dzieje.

Zdarzają się pomyłki. Ktoś zaufany, z Interpressu, współpracujący z dziennikarzami zagranicznymi, przekazuje nieoficjalnie informację, że Mazowiecki umarł na serce w obozie dla internowanych. Informacja nie do sprawdzenia. I koledzy „gołębiem” ślą ją w świat. Sam widziałem pierwsze strony *Liberation*, *Le Monde*, *Le Matin*, zrobione na czarno. Ta wiadomość obiega cały świat; najlepszy dowód: mój ojciec, będący wówczas w Melbourne, zaproszony na odczyty o Polsce, jedzie do kościoła pomodlić się za Mazowieckiego. Oczywiście potem dementuje się oficjalnie tę wiadomość, szukając wszystkich możliwych dowodów, żeby nas przekonać, że Mazowiecki żyje. Z czasem pole do pomyłki czy manipulacji się zawęża: każda nowa wychodząca z Polski wiadomość o Wałęsie, Solidarności, zanim zostanie przekazana w świat, musi pochodzić z co najmniej kilku źródeł.

Bjoern Cato Funnemark, przewodniczący SNP

Po wprowadzeniu stanu wojennego: Masowa solidarność z Solidarnością w Norwegii

Zamordowani robotnicy, aresztowani związkowcy i cały naród głodny i uciskany przez władzę wojskową. To krótko mówiąc sytuacja Polski dzisiaj. To też brutalna rzeczywistość komunizmu w kilku słowach. Od czasu rewolucji rosyjskiej brutalna przemoc jest najsilniejszą bronią komunistycznych władz. Tę broń stosowano nie tylko przeciwko inaczej myślącym. Komunistyczni przywódcy nigdy nie wahali się również stosować przemocy wobec własnych działaczy. Łotewscy marynarze w Kronsztadcie, którzy podczas rosyjskiej rewolucji stanowili prawdziwą awangardę bolszewicką, pierwszy odczuli prawdziwy charakter komunizmu. Zostali zamordowani jeden za drugim na podstawie rozkazu Lenina. To samo się powtarzało gdziekolwiek komuniści przejęli władzę. To, co się teraz dzieje w Polsce, jest po prostu regułą w systemie komunistycznym.

To żadna wypowiedź skrajnego antykomunisty z Oslo, lecz główny komentarz redaktora naczelnego regionalnej gazety *Finnmarken* Erlinga Arvoli z 21 grudnia 1981 roku. Gazeta wychodziła na samej północy Norwegii, w województwie *Finnmark* przy

ówczesnej norwesko – radzieckiej granicy. *Finnmarken* w tym czasie była na dodatek regionalnym organem norweskiej Partii Pracy.

Solidarność Norwesko-Polska

Chociaż Norwegia, a w szczególności *Finnmark*, leży stosunkowo daleko od Polski, los Solidarności i Polski w szczególności sposób zajmował Norwegów w pierwszych tygodniach i miesiącach stanu wojennego.

Organizacja *Solidaritets Norge* – Polen (Solidarność Norwesko – Polska, SNP), która szybko stała się największą organizacją wspierającą Solidarność za granicami Polski, rozrosła się w prawo i w lewo właśnie w tym okresie. W pierwszych tygodniach po 13 grudnia niemal codziennie przybywał przynajmniej jeden nowy oddział. Do SNP zapisywały się komisje zakładowe i związki branżowe. Wkrótce liczyła około 60 oddziałów lokalnych rozrzuconych po całym kraju.

Demonstracje poparcia Solidarności

17 grudnia odbyła się w stolicy Norwegii Oslo wielka demonstracja po-

pierająca NSZZ Solidarność. 5000 ludzi, głównie Norwedzy, nieśli pochodnie i transparenty z hasłami potępiającymi stan wojenny. Podobne demonstracje miały miejsca w różnych częściach Królestwa. W dużych i małych miejscowościach. Na przykład w Kirkenes, leżącym w Norwegii północnej tuż przy radzieckiej granicy, demonstrowało 200 osób. Kirkenes ma jednak tylko 3000 mieszkańców, a demonstracja odbyła się przy temperaturze minus 20 stopni.

Jeszcze przed 13 grudnia SNP zebrała środki i wysłała Solidarności 148 maszyn drukarskich. Przed końcem 1982 roku zebrałiśmy ponad 2 miliony koron (ok. 300 000 amerykańskich dolarów) dla Solidarności. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, jaką formę przybierze solidarnościowy ruch oporu. Inni z kolei gromadzili środki na pomoc humanitarną dla Polski.

O wytrwałości i sile sympatii Norwegów dla Solidarności i polskich aspiracji wolnościowych świadczy najlepiej fakt, że 9 z tych około 60 oddziałów SNP przetrwało cały czas stanu wojennego, aż do powstania rządu Mazowieckiego i początku prezydentury Wałęsy.



Manifestacja w Oslo, wiosna 1982

Michel Viatteau, dziennikarz AFP

AFP i polski grudzień 1981: sytuacja bez wejścia

Telefon zadzwonił przed wschodem słońca.
– Michel? Tu Serge Romensky.

Zanim jeszcze Serge, redaktor naczelny, człowiek wyjątkowo spokojny i wytworny – jak na „białego” Rosjanina przystało – zaczął następne zdanie, zrozumiałem, że stało się coś niezwykłego.

– U was, w Polsce, jest coś w rodzaju wojskowego zamachu stanu. Generał Jaruzelski postanowił zlikwidować Solidarność. Jeśli możesz, przyjeżdżaj do agencji jak najszybciej i weź ze sobą rzeczy na parę dni.

– Zaraz będę – odpowiedziałem, chociaż z mojego podparyskiego mieszkania na Place de la Bourse jechało się prawie godzinę.

W głowie wirowały mi tysiące pytań i sprzeczne, gwałtowne emocje. Ze zdziwieniem zauważyłem wśród nich ulgę. Armia Czerwona nie weszła do Polski, więc może nie będzie masakry. Później strach. Co się dzieje z moimi bliskimi, zwłaszcza z bratem, który udzielał się po stronie opozycji? I w końcu wściekłość. Myślałem, że reżim jest w agonii, a tymczasem okazuje się, że zdolny jest jeszcze do kontrataku.

Sam nie wiem, kiedy znalazłem się w naczelnej redakcji. Trwało tam zebranie kilku naczelnych, którzy starali się przewidzieć dalszy ciąg wydarzeń i wysłać reporterów tam, gdzie będzie się można czegoś dowiedzieć.

– Do Polski nie pojedziesz. Granice zamknięte, samoloty nie latają, a i tak by cię nie wpuścili – usłyszałem.

Ktoś, nie wiem kto, nie był to Romensky, stworzył teorię, wedle której Polacy będą masowo porwać kutry rybackie i jachty, i uciekać przez Bałtyk do Szwecji. W dwie godziny później siedziałem w samolocie do Sztokholmu z poleceniem przeprowadzenia wywiadów z tymi polskimi „boat people”.

Po przylocie pojechałem od razu do portu, chociaż wydawało się nieprawdopodobne, żeby ewentualni uchodźcy już tam dotarli. Zresztą, władze szwedzkie nie miały żadnych informacji na temat ich ewentualnej podróży czy obecności na morzu. Nawet prom z Polski został odwołany. Natomiast prom ze Szczecina do Kopenhagi miał przyplłynąć następnego dnia.

Porozumiałem się z Paryżem i znowu pojechałem na lotnisko. Do Kopenhagi dotarłem wieczorem.

Cały ten czas działałem trochę jak dziennikarski automat, zajmowałem się bezowocnym na razie poszukiwaniem informacji, nie mając praktycznie dostępu do telewizji czy gazet (szwedzkiego i duńskiego nie znam). Wieczorem znowu dopadła mnie gorzka, kąsająca jak zły pies wściekłość. Na Moskwę, co do której nie wāt-

piłem, że zorganizowała stan wojenny, i na jej chytrą, pozwalającą uniknąć potępienia jakie spotkało ją po wejściu do Czechosłowacji w 1968, i na polskie wojsko, które jej usłuchoło i wykonało rozkaz. I na Zachód, chociaż niby nic nie był winien, ale jednak temu wszystkiemu nie przeszkodził. To ostatnie uczucie wzmogło się jeszcze następnego dnia, kiedy dowiedziałem się, że francuski minister spraw zagranicznych, Claude Cheysson, pytany o reakcje na wydarzenia w Polsce, z rozbrajającą szczerością powiedział: *Nous ne ferons rien*. Nie zrobimy nic. Na chłodno analizując sytuację, miał rację, NATO nie mogła zbombardować polskich koszar w odwecie za stan wojenny. Ale może nie musiał tego tak publicznie ogłaszać.

Poniedziałek zaczął się równie kiepsko jak się skończyła niedziela. Wymyśliłem, że spróbuję pojechać wracającym promem do Szczecina i zejść na ląd. Nawet jeżeli nie zejść, to może coś jednak zobaczę, może są jakieś specjalne środki bezpieczeństwa, patroli marynarki wojennej? Ale zrobiłem błąd: lojalnie zadzwoniłem do Paryża, żeby szefów o tym pomyśle poinformować. I po jakiejś godzinie dostałem telefon, że sam prezes formalnie zakazuje mi tej operacji w trosce o moje bezpieczeństwo. Znowu poczułem się jak mucha, która bezskutecznie obija się o grubą szybę i do niczego się nie przydaje, podczas kiedy po drugiej stronie szkła kreci się warty koło historii.

O CZEŚĆ WAM PARTYJNI MAGNACI

Gdy naród o swoje upomniał się prawa
To partia ze strachu zadrziała
Czem prędzej w Szczecinie Jastrzębiu
i Gdańsku
Umowy podpisać musiała

O cześć wam partyjni magnaci
Za długów miliardy i kryzys
Za wszystko to naród wam musi zapłacić
Za wszystkich fryzjerów w Paryżu

Niegodne wam życie, stracone nadzieje
Jak Polska szeroka i długa
A partia w dziennikach bezczelnie
kantując
Straszyla nas braćmi z za Buga

Gdy wreszcie się szerzyć zaczęła
odnowa
Znów pragną odwrócić bieg zdarzeń
Lecz chociaż bezbronna dziś ręka
ludowa
Za zbrodnie was wszystkich ukarze

O cześć wam partyjni magnaci
Znów chcecie nas zakuć w kajdany
Za wszystko to naród wam każe zapłacić
Za kraj nasz krwią bratnią zbrzydzany
Białoleka, 1982

Prom przyplłynął pusty. Udało mi się porozmawiać z jakimś marynarzem, choć nie był w stanie nic mi powiedzieć – ja wiedziałem więcej niż on. No, ale wreszcie napisałem kilka słów, opisując krotką demonstrację przed promem, którą zorganizowali młodziecy działacze skrajnej, nieco hipisowskiej i długowłosej lewicy duńskiej. Oni też nie bardzo wiedzieli, co się w Polsce dzieje, ale wyrazili poparcie dla Solidarności i potępił stan wojenny.

Z braku materiału poszedłem do jedynej otwartej instytucji mającej jakikolwiek związek z Polską (ambasada PRL była zamknięta na cztery spusty), to znaczy do Związku Polskich Żydów w Danii. Siedział tam tylko dwóch panów w podaszki w wieku, którzy grali w szachy.

Wieczorem przyszło nowe polecenie z Paryża. Miałem polecieć do Wiednia i zorganizować tam, razem z Janem Krauze, pracującym w tamtejszym biurze AFP, nasłuch polskiego radia. Nasz korespondent w Warszawie, Jacques-Michel Tondre, jakimś cudem miał dostęp do telexu, którego Urząd Bezpieczeństwa przez przeoczenie nie zamknął, i od czasu do czasu wysyłał trochę informacji. Ale ta niewielka dziura w murze mogła w każdej chwili zostać zaczopowana – tak się zresztą po kilku dniach stało.

W Wiedniu, we wtorek, czyli trzeciego dnia po ogłoszeniu stanu wojennego zaczęła się wreszcie prawdziwa robota. Zwerbowałem dwie młode Polki mieszkające tam, które słuchały Polskiego Radia, kiedy my nie mogliśmy tego robić i towarzyszyły im. Oczywiście były to tylko informacje oficjalne, ale i to było lepsze niż nic. Właśnie w taki sposób, słuchając radia w wiedeńskim biurze, dowiedziałem się pierwszy o dziewięciu górnikach zabitych w kopalni Wujek. Oczywiście przy takiej tragedii satysfakcja z pobicia konkurencji w podaniu informacji na cały świat jest niemal żadna, a dla ludzi spoza naszego zawodu może wydać się nawet godna pogardy.

Niemniej, jako że przywódcy stanu wojennego starali się maksymalnie ograniczyć informacje i ukryć pod powłoką propagandy, oczyszczenie tej informacji i jej przekazywanie było dla nas wartością samą w sobie. Mieliśmy także inne, niestety skąpe, źródło nieoficjalne. Okazało się, że jedynym połączeniem Polski z zewnętrznym światem jest Chopin – ekspresowy pociąg Warszawa-Wiedeń. Jeden z nas jeździł więc co noc na granicę czechosłowacko-austriacką, tam wsiadał do tego pociągu i powoli szedł przez niemal puste wagony, starając się znaleźć pasażera z Polski, który by coś wiedział i nie bał się tego powiedzieć, a był przy tym wiarygodny. Były to,

rzecz jasna, informacje fragmentaryczne, ale pozwalały na powolne budowanie obrazu tego, co się w Polsce dzieje.

W depeszach nie identyfikowaliśmy naszych rozmówców, ale mówiliśmy o tym, że byli to pasażerowie Chopina. Zresztą całkiem prawdopodobne, że któryś z nich pracował dla SB. W każdym razie SB szybko wyciągnęła odpowiednie wnioski. Którejś nocy, wśród mrukliwych i nierozmownych pasażerów, znalazła się bardzo pociągająca młoda blondynka, która z wielką ochotą opowiedziała nam szczegółowo o bardzo groźnych knowaniach robotników Huty Katowice. Mieli oni jakoby przygotowywać się do wysadzenia w powietrze części huty, co mogło doprowadzić do śmierci wielu osób, a na pewno do wielkich strat materialnych.

Przyznam się, że (może z powodu wielu nieprzespanych nocy, a może powodowany podświadomym u młodego dziennikarza oczekiwaniem na „bombę”) w pierwszej chwili uwierzyłem w tę historię i pognąłem do biura, żeby ją opisać. Nasza uroczona pasażerka została zaś zaproszona przez moją kolegę z dużego prywatnego radia francuskiego do hotelu, żeby nagrać wywiad – mówiła trochę po angielsku czy też po niemiecku.

Jednak, siadając do pisania, spojrziałem na serwis i zobaczyłem depesze z Moskwy, gdzie TASS pisał coś o zbrodniczych zamysłach Solidarności, i nagle wszystko stało się jasne. Zamiast pisać depeszę, zadzwoniłem do kolegi z radia.

– Przykro mi, ale odradzam ci nadawanie wywiadu z tą dziewczyną. Ona jest agentką.

– Aaa, jednak współbrat po piórze. Zaraz sprawdzę.

Jak mi potem powiedział, chciał sprawdzić, jak daleko posunie się kobieta, aby zyskać jego pełne zaufanie, i okazało się, że całkiem daleko... Z czego, jak twierdził, cnotliwie zrezygnował.

W Wiedniu pracowaliśmy tak prawie dwa miesiące. Potem kanały informacyjne z Polski zaczęły się odblokowywać i nasłuch przestał być potrzebny. Nie licząc kilku marginalnych incydentów – najnieprzyjemniejszym była fałszywa wieść o śmierci Tadeusza Mazowieckiego – zachodnie media wykonały, z mojego punktu widzenia, dość solidną robotę dziennikarską, wspierając wielką falę sympatii dla Polski w społeczeństwach Europy Zachodniej i Ameryki Północnej.

Ja sam spróbowałem jeszcze raz wejść do Polski w marcu, kolejowym tranzytem z Moskwy, co pozwoliłoby mi spotkać wielu ludzi w pociągu, a może nawet wysiąść gdzieś po drodze na kilka godzin i porozglądać się. Ale byłem na czarnej liście i wizy tranzytowej nie dostałem.

Klaudia Rotmanowa

Okruchy pamięci na zimnym śniegu

Swego czasu zbierałam...wspomnienia. Wydawało mi się, że nie ma nic bardziej niezawodnego niż ludzka pamięć. W wielu przypadkach nie miałam racji. Ale tę mroźną i słoneczną grudniową niedzielę wciąż mam przed oczami.

Na przełomie lat 70. i 80. XX wieku, często odwiedzałam mieszkanie Lilii i Walerego Sulimowych, znajdujące się na poddaszu przy ulicy Teatru 3 w Rydze. Pamiętam, że wchodziło się do nich po skrzypiących schodach. Prowadzili otwarty dom. Wielu ludzi łączyło to miejsce, a numer telefonu, 210030, znany był daleko poza granicami Rygi. Walery telefonicznie przekazywał informacje na temat przesładowań dysydentów obrońcom praw człowieka w Moskwie i na Zachodzie. Oczywiście telefon był na podsłuchu, ale fakt ten najwyraźniej nie wpłynął na zachowania właściciela domu – to była forma manifestacji wolności. Czasami Lilia częstowała mnie kanapkami i kawą. Czasami przychodził Walery. W zimie jego ręce były zmrożone, aż sine. Wtedy nie wiedziałam, że piętro niżej w nieogrzewanym magazynie u teściowej, miał całe laboratorium fotograficzne.

Było południe, słuchaliśmy audycji w języku polskim. Głos w radio brzmiał sztucznie, nieszczerze, zwiastował coś niedobrego! Służby zagłuszające były w tym czasie szczególnie aktywne, dlatego z powodu trzasków i szumów nie dało się słuchać w języku rosyjskim ani BBC, ani „Głosu Ameryki”, ani „Radia Swoboda”. Łatwiej było nastawić radio na rozgłośnie nadające w obcych językach, w tym w języku polskim. Dodam, że nie uczono go wtedy w szkołach.

Bardzo nas interesowały wydarzenia w Polsce. Podczas, gdy my żyliśmy w epoce stagnacji za rządów Breżniewa, w sąsiednim kraju zachodziły niesamowite zmiany: władze zwały niezależny związek zawodowy „Solidarność”, w czasopiśmie i gazetach pojawiały się wiadomości, do których my nie mieliśmy dostępu. Prasa podziemna, którą zdobywał dla nas mąż Lili, informowała o strajkach w różnych częściach kraju, braku produktów w sklepach, głodujących rodzinach robotniczych.

Do niedawna w kioskach można było jeszcze kupić polską prasę. Nakład był marny, wszystko trzeba było „załatwiać” z kioskarczem. Stopniowo polska prasa zniknęła. Jesienią 1981 w ZSRR zrezygnowano z zamawiania polskiej prasy na następny

rok. Towarzyszyło nam przecucie, że stanie się coś złego. I wtedy nadszedł 13 grudnia 1981!

Lilia spojrzała na mnie poważnie zza odbiornika.

– W nocy, w Polsce wprowadzono stan wojenny. Słyszysz, Wolna Europa nadaje przemówienie Jaruzelskiego – powiedziała i poszła zadzwonić do męża, aby przekazać mu niepokojące wieści.

Okazało się, że lepiej nie polegać tylko na własnej pamięci! Nie pamiętam tytułów wielu książek, które przeczytałam, odwiedzając Lilię i Walerego. Dokładnie za to pamiętam regał wypełniony książkami w języku polskim. Nie mogłam ich wtedy czytać, bo nie znałam języka. Ale imiona i nazwiska autorów zapadły mi w pamięć. Była tam polska klasyka, było dużo przekładów literatury historycznej, popularno-naukowej i dektystycznej. W przeważającej części zostały przetłumaczone z języka angielskiego, a nawet – z rosyjskiego. A na półce poniżej zwykle leżał stos gazet i czasopism w języku polskim. Nawiasem mówiąc, w czasie przeszukiwań, ta półka pozostała nietknięta.

Ostatnio w Düsseldorfie, zapytałam Walerego:

– Pamiętasz, jak wszyscy ustawialiśmy się w kolejce po dobre książki w języku rosyjskim lub jak zdobywaliśmy je przez znajomych? Strasznie nam ich brakowało! Jak ci się udawało zdobyć w Rydze tak piękną literaturę w języku polskim?

– Och, z literaturą obcą wtedy było inaczej! – powiedział. – Po pierwsze, do sklepu z literaturą zagraniczną „Globus” książki w języku polskim przychodziły raz na dwa miesiące. My, to znaczy stali klienci, wiedzieliśmy o tym wcześniej. Raz w roku, zazwyczaj w czerwcu, odbywała się wystawa i sprzedaż literatury polskiej. Pamiętam, że reklamy wisiały już tydzień przed tym wydarzeniem. Wystawy otwierali przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Kultury. Przyjeżdżali też polscy pisarze.

– Kto w Rydze znał język polski?

– Przede wszystkim, oczywiście, byli to Polacy, ale nie tylko. Przyjeżdżali też Łotysze i Rosjanie. Zaskakująco wiele osób w Rydze czytało wtedy w języku polskim! Mieli rozmaite zainteresowania. Książki też dotyczyły różnych dziedzin. Niektórzy zbierali literaturę na temat lotnictwa.

Niektórych interesowały książki o przemyśle stoczniowym. W tym czasie Polacy nadal pamiętali o zniszczeniu polskich sił powietrznych i marynarki podczas II wojny światowej; mnóstwo książek z tych dziedzin zostało opublikowanych. A jakie mieliśmy bogate zbiory literatury popularno-naukowej! Wszystko: od historii do seksuologii! Oczywiście, ludzie kupowali literaturę piękną: polską oraz światową przetłumaczoną na język polski.

Te coroczne wystawy były dla nas czymś więcej niż tylko okazją do kupowania książek. Ludzie mogli tam spotkać się i poznać, a także wymienić literaturę i wiadomościami uszyszanymi w języku polskim w radiu.

Wieczorem 13 grudnia 1981 roku razem z artystą Nikołajem Uwarowem słuchaliśmy polskiej rozgłośni. Wydawało nam się wtedy, że decyzja generała nie była wcale najgorsza. Myśleliśmy, że w ten sposób ratuje swój kraj przed sowiecką inwazją. Skąd mogliśmy wiedzieć, że prawie każdego dnia w Polsce dochodzi do aresztowań działaczy opozycji, że zomowcy łapą ludzi nocą na ulicach miast, że biją ich i traktują jak zwierzęta? Że zaczęła się wojna, w której wielu Polaków straci swoich bliskich? I, że trzydzieści lat później, w Polsce nadal będzie trwała dyskusja o stanie wojennym i o tym, czy za wszystkie zdarzenia należy winić generała?

Trzydzieści lat temu myślałam, że jeśli nie cały świat, to przynajmniej moi znajomi na Łotwie, tak jak ja, interesują się zdarzeniami w Polsce. W tym roku zadzwoniłam do nich i okazało się, że niewielu miało świadomość tego, co działo się w sąsiednim kraju. Dlaczego? Po pierwsze, prasa sowiecka unikała wszystkiego, co dotyczyło wydarzeń w Polsce. A dostęp do prasy podziemnej w ZSSR miała tylko garstka ludzi. Nakłady były zwykle bardzo małe. Prasa trafiała przede wszystkim do tych, którzy byli uważani za „swoich”. Surowe represje stosowano nawet wobec czytelników! Co prawda w 1981 roku nie wsadzano za czytanie prasy niezależnej do więzienia, ale zdarzały się przesłuchania, zwolnienia z pracy lub wydalenia z uczelni! Na co dzień moi rodacy musieli przede wszystkim myśleć, jak zdobyć chleb. Nie było więc miejsca na zajmowanie się wydarzeniami, które nie

dotyczyło ich życia bezpośrednio.

Tylko jeden z moich znajomych, Alnis Zandersons, znany na Łotwie reżyser i operator telewizyjny, powiedział: – Gdy wprowadzono stan wojenny w Polsce, zdałem sobie sprawę, że doszło do katastrofy! Myślałem, że powtórzy się scenariusz z Czechosłowacji, tyle że bez sowieckiej inwazji. Jaruzelski sam zrealizuje ten scenariusz. Ale wydawało mi się też, tak jak i wam wtedy, że to może być sprytny ruch. Wiedziałem przecież z pierwszej ręki, czym były „czechosłowackie wydarzenia”. Dotknęły one moich przyjaciół, tyle, że w 1968 roku...

Kiedyś wydawało mi się, że choć nie mogę znać swojej przyszłości, to z pewnością wiem, co nie wydarzy się za kilka lat. Myliłam się. Znowu jestem w małym, ciemnym mieszkaniu w Düsseldorfie. Trzydzieści lat temu nie myślałam, że tu jeszcze wrócę. Towarzyszy mi dobry znajomy z Rygi. Przyjaźniłam się z nim i jego żoną. Ale nie mogłam wiedzieć, że w lecie 1995 roku Lilia umrze na atak serca w Olsztynie, że Walery na mocy dekretu prezydenta dostanie obywatelstwo Rzeczypospolitej Polskiej, że??odnajdzie mnie w Niemczech i że w tym „drugim życiu” będziemy obchodzić rocznicę naszego ślubu.

W zesłym roku pojechaliśmy na Łotwę – bez wiz, bez kontroli celnej. Zarówno Łotwa, jak Polska i Niemcy należą teraz do Unii Europejskiej i grupy Schengen. Swobodne podróżowanie stało się powszechne i nie wywołuje większych emocji. Centrum Rygi zmieniło się nie do poznania! Dom na ulicy Teatru został całkowicie przebudowany. Najwyższego piętra już nie ma. Wspomnienia z poprzedniego życia zostały tylko w pamięci! Ale księgarnia, wokół której zbierali się miłośnicy literatury polskiej, stoi na swoim miejscu! I te same kamienne Atlanty wspierające kulę ziemską patrzą na przechodniów. Tylko literatury polskiej nie można już kupić ani w tym sklepie, ani w żadnym innym. Nie ma też książek w językach obcych, oprócz literatury rosyjskiej. A polskiej prasy w Rydze w ogóle już nie sprzedają – jak mówią ci sami ludzie, którzy kiedyś gromadzili się wokół księgarni!

Wydaje się, że wraz z wprowadzeniem stanu wojennego trzydzieści lat temu wszystko poszło w zapomnienie. I do dziś nie zdołało się już odrodzić. przekład: Agata Zaremba

Ewa Sułkowska-Bierezin

STAN WOJENNY

MEFISTO

Poprzysięgliśmy sobie z bratem, że nie damy się wciągnąć we wspominki typu „Jak mnie brali trzynastego”. Witek nie żyje i już na zawsze dochowa wierności tej zasadzie. Ja – niestety – czasem ją łamię, argumentując obłudnie, że są szczegóły, które coś tam mówią, o czymś tam świadczą i szkoda, żeby się rozplynęły. W rzeczywistości jestem po prostu notoryczną gadułą, o czym aż za dobrze wiedzą moi przyjaciele.

Jak mnie brali trzynastego, to był straszny mróz. Kot Mefisto był poza domem, co mu się coraz częściej zdarzało. Za to w domu, na widocznym miejscu stały dwa opasłe segregatory z napisem: „Solidarność – Komisja Rewizyjna”. Bibuła (wciąż była jednak bibuła) i materiały poligraficzne były nieco ukryte. Ale ci, co mnie zabierali, najwidoczniej mieli jedno zadanie: jak najszybciej mnie wyprowadzić.

Potem, już na dołku w Sieradzu i na wszystkich etapach internowania, nie przestałam myśleć o zabłąkanym kocie i materiałach regionalnej komisji. Kot, gdyby został w domu, mógłby się wydostać dopiero w styczniu, kiedy po raz pierwszy odwiedziła mnie Adela czyli teściowa i dałam jej klucze do domu. Jacka zabrali z Warszawy do Jaworza i z nim się jeszcze nie widziałam. Powiedziałam Adeli o materiałach solidarnościowych, które mogą być łakomym kąskiem dla SB. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że są bezpieczne.

Kiedy 22 lipca 1982 wróciłam na dobre do domu, najbliższa sąsiadka opowiedziała mi o losach Mefista. Nasz kot błąkał się jakiś czas w okolicach domu zatrzymując się coraz oporniej na dźwięk swojego imienia. Potem już nie reagował, coraz rzadziej się pokazywał, aż przestano go widywać. Chcę wierzyć, że przeniósł się w inne rejony dość zadrzewionej okolicy. Był jeszcze młody, silny i zawsze bardzo samodzielny.

Materiały solidarnościowe zostały tak dobrze ukryte, że w żaden sposób nie mogłam się dowiedzieć, gdzie są. Nie było już zresztą tak ważne ich odnalezienie, jak to, że się nie dostaną w niepowołane ręce. W ćwierć wieku później i w trzy lata po powrocie do Polski dowiedziałam się, że jakiś czas leżały ukryte na terenie ogrodu zoologicznego. Ojciec Eli, świetnej alpinistki nazywanej w Klubie Wysokogórskim Glazą, był dyrektorem łódzkiego Zoo. Potem musiały być stamtąd zabrane i podzieliły los Mefista: ślad po nich zaginął.

KRZYŚ

Próbowałam zastosować wybieg, który na nic się nie zdał: zaczęłam opis stanu wojennego od kota i zmęczenia. W rzeczywistości stan wojenny jest dla mnie nierozdzielnie związany ze śmiercią Krzysia, który odszedł na własne życzenie na początku listopada. Od tamtego czasu myślę o jego dramatycznej decyzji jak o złowieszczej zapowiedzi zdarzeń zapoczątkowanych 13 grudnia 1981 roku. I dopóki nie uporam się z tym tematem, nie potrafię potraktować wspomnień ze stanu wojennego tak, jak zaplanowałam: jako ciągu opowieści zaskakujących, zabawnych lub pouczających.

Może opisanie TEJ historii pomoże mi zrozumieć, dlaczego stan wojenny to dla mnie w pierwszym odruchu ZAWSZE początek listopada i ta śmierć.

Dla ludzi, którzy go nie znali, nazywanie dorosłego człowieka „Krzysiem” może się wydać postrzeganiem dorosłego człowieka jak niedojrzałego chłopczyka.

Krzyś był jak sejsmograf, najdrobniejszy fałsz, nawet podyktowany zasadami dobrego wychowania odczuwał boleśnie jak zamach na świat – świat jedynie możliwy do życia. Od jakiegoś czasu sprawy „Solidarności”, którym oddał się duszą i ciałem po okresie brawurowej działalności opozycyjnej, zaczęły go mierzwić. Mówił o stagnacji, prywatnie, politycznych interesach i układach, odchodzeniu od celu, zapominaniu o zasadach.

Ta nadwrażliwość i bezkompromisowość brały się po części z nienajlepszego stanu zdrowia – fizycznego i psychicznego. Po części, bo nie były to czynniki kreujące, a jedynie wyostrajające jego odczucia i reakcje.

W tym czasie byłam nieustannie głodna, niewyspana i zaganiana. Delikatność nigdy nie była moją mocną stroną. Zapomniałam, że wobec Krzysia trzeba szczególnie zważać na słowa.

Zanim poznałam wszystkie okoliczności i wydarzenia poprzedzające jego desperacką decyzję, przyjmowałam pokornie wszelkie na ten temat zarzuty, a nawet próby zdyskontowania całej sprawy przez SB. Gdy 12 grudnia wieczorem na pytanie „kto tam?” odpowiedziano mi zza drzwi: „milicja”, pomyślałam, że jakimś cudem udało im się znaleźć coś, co pozwoliło na tego typu szykanę.

Może właśnie to związało w mojej świadomości sprawę Krzysia ze stanem wojennym? A może przekonanie graniczące z pewnością, że stan wojenny i internowanie (na pewno nie na liście) uratowałyby go? Nadałyby z powrotem jakiś sens jego życiu?

Przez wiele lat uważałam śmierć Krzysia za najgorsze, co mnie spotkało. Naturalnie, myślałam się. Jednak dopiero strata dwóch najbliższych mi ludzi sprawiła, że o odejściu Krzysia zaczęłam myśleć spokojnie, jak o kimś bliskim, kto – jako pierwszy – znalazł się po tamtej stronie.

Z PANIĄ? NIGDY!

Podczas strajku w Zakładach im. Marchlewskiego, gdzie Krzyś był jednym z bardziej znanych członków ekipy poligraficznej, natknęłam się na dziennikarkę, o której

Ewa Radlicka

Kontra



Nie ma jak kamuflaż. W naszym domu drzwi nigdy nie były zamknięte, a okna bez firanek – nie budziły podejrzeń...

W Gołdapi byłam trzykrotnie. Chciałam coś zrobić dla internowanych. To była wczesna wiosna 1982 r. Mąż powiedział, że najlepiej byłoby pojechać do Gołdapi. Nie wpuszczała odwiedzających. Kierownik był straszny. Wsiedliśmy w naszego malucha (transport nie był więc imponujący) załadowanego proszkami do prania w worach i pudłach po 10 kg, odżywkami, sucharami, puszkami, lekarstwami. A jeszcze w osobnych torbkach jakieś drobiazgi dla znajomych kobiet. Wyjechaliśmy o zmroku, kiedy zatrzymał nas milicjant, zapytał, co to za kontrabanda. Zajechaliśmy do proboszcza w Gołdapi. Chodził z posługą do obozu, przynosił grypsy. Dopakował nam papier toaletowy.

Wysiedliśmy przy rogatce, w środku lasu, nad pięknym jeziorem. Zatrzymało nas dwóch żołnierzy. Mieliśmy, dzięki księdzu Dembowskiemu, przepustki od św. Marcina. A nuż się uda. Poszła fama, że w Gołdapi nie przyjmują. I rzeczywiście ten naczelnik nie przyjmował. To był potwór;

przecinał torby z proszkami, jedzeniem.

I tu udał mi się fortel. Żołnierze powiedzieli, że i tak nie wjedziemy. Ze „towaru” nie możemy zostawić. Straszliwi mnie (straszyli zresztą bez przerwy, ale ja zaimpregnowana jestem), że wezmą nas na komendę. Powiedzieliśmy, że możemy iść na komendę, ale jeśli nie przyjdzie naczelnik, nie ruszymy się z samochodu. I przychodzi całkiem przystojny potwór w wieku około trzydziestki i pyta:

– Czego?

– Panie komendancie – ja na to – pan pozwoli sobie przedstawić moje go męża: Jan Radlicki.

Wyciągnął rękę. Zglupiał zupełnie. Nikt go chyba jeszcze tak nie potraktował. Szłam z nim piechotą w stronę obozu.

– Słuchy chodzą – zaczynam – że Pan taki surowy, że Pan paczki przecina, miesza. Ja wiem, że to złośliwość. Ja też jestem baba złośliwa. Ale przecież Pan może te proszki i dla swoich wykorzystać. Wasze żony, matki zobaczą, jakie to cudo. To jest coś wspaniałego.

Samochód zostawiliśmy na podjeździe, strażnicy zabrali wszystko, co

banda



©Mark Carrot*

przywleźliśmy. Kazano nam czekać dwie godziny jak w więzieniu. Bo to było więzienie (przez pierwsze pół roku internowane kobiety nie mogły opuszczać budynku; zamiast spaceru mogły siedzieć na balkonie albo spacerować po dużym tarasie – JH). Księdzu nie pozwalali przywozić paczek. I to wylewające się chamstwo strażników! Ale te kobiety też nieźle pyskowały. Miały ich za koszmarnych łobuzów, a oni je za koszmarnie baby zagrażające Polsce.

Oni im dokuczali: byli chore, zmartwione, zdenerwowane – w nich były cięgle strach, że wywozą, a miały przecież rodziny, i ten strach podskórny zostaje – a oni znęcali się nad nimi psychicznie, mimo że warunki w ośrodku RiTV były bardzo dobre (kiedy byłam tam po raz drugi, kobiety chodziły po lesie, nie tylko – jak za pierwszym razem – po tarasie). Jednak ten luksus był wręcz tragiczny. One były pod ścisłą kontrolą. Odcięte, nie wiedziały, jak to się skończy.

Kiedy nas wpuszczono, nareszcie – pogadaliśmy z nimi (chciały wiedzieć, co się dzieje!), prosiły o jakieś lekarstwa, dały nam grypsy. Widzenie odbywało się w hallu, bez strażników. Trwało pół godziny. Wróciliśmy do do-

mu. I drugi raz pan komendant nas wpuścił. A po raz trzeci jechałam tam w lipcu pociągiem do zaangażowanej w Solidarność Ewy Krzyżanowskiej–Kossakowskiej z Milanówka. Wszyscy w tym pociągu jechali do Gołdapi do internowanych. Stałam na jednej nodze. Powiedzieć, że byliśmy jak śledzie w beczce, to mało. Absolutnie wszyscy jechali w odwiedziny. Dwa tygodnie później ogłoszono koniec stanu wojennego i wszystkie kobiety wróciły.

Notowała Joanna Herman

Ewa Radlicka, wdowa po mecenasie Janie Radlickim, adwokacie internowanych i uwięzionych w stanie wojennym. Jan i Ewa Radlicy byli małżeństwem – instytucją: ich mieszkanie – skrzynką kontaktową, azylem dla ukrywających się. Utrzymywali bliski kontakt z Solidarnością Rolników Indywidualnych. Ukrywali w sobie i przetrzucili na zachód rosyjskiego dezertera. Brali udział w przetrzucach sprzętu. Ewa Radlicka między marcem a lipcem 1982 trzykrotnie jeździła do ośrodka internowania dla kobiet w Gołdapi, mieszczącego się w Ośrodku Wypoczynkowym Komitetu do spraw Radia i Telewizji.

powiedziano mi, że jest „czerwona”. „Z Głosu Robotniczego” [Iwona śledzińska-Katarasińska – przyp. ESB] – padło wyjaśnienie.

Były to czasy, kiedy uważałam siebie za osobę otwartą i tolerancyjną. Przekonanie to legło w gruzach podczas moich pierwszych kontaktów w USA: nie tylko z Amerykanami, ale również z osiadłymi tam emigrantami drugiej wojny światowej i – ogólnie rzecz biorąc – środowiskiem polskiej inteligencji (wyodrębnienie to jest istotne, ponieważ później zetknęłam się ze szczególnym fanatyzmem części Polonii chicagowskiej).

Ale – do rzeczy: po deklaracji tej pani, że teraz „będziemy wszyscy razem”, oświadczyłam buńczucznie: – Z panią? Nigdy!

Kiedy cywilno-mundurowa ekipa zawiozła mnie w nocy z 12 na 13 grudnia na Komendę MO, wśród coraz liczniej wprowadzanych przyjaciół i znajomych (zorientowałam się wtedy, że to jakaś rozgrywka z „Solidarnością”) rozpoznałam, nie bez zdumienia, ową dziennikarkę. Iwonka towarzyszyła mi później, razem z Małgosią, w dwóch koszmarnych transportach: najpierw do Sieradza „na dołek”, a następnie do aresztu śledczego w Olszynie Grochowskiej. Był to dla Iwony prawdziwy początek drogi do opozycji. Bardzo dotkliwy początek, bo poważnie odmroziła nogi aż po uda podczas wielogodzinnej jazdy do Warszawy w lodowatej ciężarówce. Ona jedna – kompletnie w tej materii zielona – ubrała się lekko, nie wzięła cieplej bielizny, ani niczego, co się w wypadkach nagłego zatrzymania bierze ze sobą.

TRANSPORT

Od kilku dni chodziły słuchy, że będzie transport, czyli gdzieś nas wywozą. My tymczasem zadowiliśmy się nieco. Zaczęły nadchodzić paczki z żywnością, z ubraniami i środkami higienicznymi. Od rodzin, od nieznajomych przyjaciół i z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Transport to – jak wiadomo z opowiadań delikwentów i z literatury – jeden wielki stres.

Budziłyśmy się ze ściśniętym gardłem, długo nie zasypiałyśmy po zgaszeniu światła. Piszę „my”, ale mnie jeszcze nie całkiem przeszło oszołomienie i nie opuściły – oderwane od codzienności więziennej – myśli. Niemniej i mnie udzielił się niepokój związany z pytaniem „gdzie nas zabiorą i po co?”.

Wreszcie kazano nam pakować rzeczy. I wtedy – zanim na dobre zrodziło się uczucie trudnej do opanowania paniki – wszedł młody żołnierz, prawdopodobnie przydzielony do konwoju.

– Niech się panie nie boją, jedziemy do ośrodka umieszczonego w domu czasowym. Tam będzie paniom lepiej, proszę się naprawdę nie obawiać!

CHWAŁA BOGU, JESTEM W GOŁDAPI

Niestety, nie powiedział nawet w przybliżeniu dokąd. Więc zaczęłyśmy się niepokoić, kiedy zorientowałyśmy się, że jedziemy na wschód, i że jedziemy bardzo już długo. W pewnym momencie – nie pamiętam JAK – stało się jasne, że jesteśmy tuż przy granicy z ZSRR i przeżyliśmy moment grozy.

Na szczęście ten stan nie trwał długo. Nasza suka dotarła do celu. Cel znajdował się wprawdzie niecałe pół kilometra od granicy, ale okazał się pięknie położonym domem czasowym. Nasz informator nie skłamał.

Dwuosobowe pokoje z łazienką zmieniono w czteroosobowe. Pod celą 202 (nadal nazywałyśmy nasze pokoje CELAMI, ponieważ – jako uwięzione – wciąż byłyśmy „pod celą”) były oprócz mnie: Marysia [Dmochowska], Zenia [Łukasiewicz] i Krysia [Skolecka-Kona]. Później miejsce Marysi i Krysi zajmą: Zosia [a raczej Helena Zofia Gromiec] i Teresa [Brodzka] z Gliwic.

Nasze życie wchodzi w koleiny, w których ani dramatyczne wypadki, ani nasze bunty, ani ubeckie szykany nie zdołają wyrwać nas na dłużej niż na dzień-dwa.

Zdarzają się – jak to w życiu – momenty komiczne, wzruszające i groźne, ale i one odpływają w przeszłość. Realna jest tylko monotonna terażniejszość.

Paczki przychodzą regularnie, mamy kawę i inne frykasy. Brakuje alkoholu. Szczególny apetyt na alkohol, odczuwany nawet przez osoby na wolności „niepijące”, dopada większość z nas. Alkohol pomaga wyrwać się ze stojącej – jak woda w sadzawce „teraźniejszości”.

Mniej-więcej w pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego dostałam – wynegocjowane przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż – cztery dni „urlupu” na „widzenie” z Jackiem. Dziewczyny nakazały mi zdobycie cennego płynu. Gdy wracałam z powrotem do Gołdapi, teściowa próbowała przygotować mi paczkę. – Mamy tam wszystko, ale chciałabym jakoś przemycić z pół litra... – wyjąkałam.

Adeli odebrało głos tylko na chwilę. – Nno, jak TY MÓWISZ, że to potrzebne, to znaczy, że potrzebne... Zabarwiła „wyborową” kieliszeczką wiśniowego kompotu i kilkoma wisienkami. Miksturę wlała do termosu. Słusznie, bo w naczyniu przezroczystym wyglądałoby to wypisz wymaluj jak denaturat.

Termosowi nie sprawdzono mi, podobnie jak przy wyjeździe. Przez cztery doby przerwy w internowaniu prawie wcale nie spałam. Po powrocie odsypiałam bez końca i braki snu, i kolację popijaną kompotkiem. Miałam koszmarnie sny. Sprowadzono nas pod pokład jakiejś łodzi, wywożono w nieznaną. Uciekłam, ale nie mogłam nigdzie trafić.

Gdy otworzyłam oczy zobaczyłam matę na ścianie, znajomą do najdrobniejszego zadrapania.

– Chwała Bogu, jestem w Gołdapi...

Nie wiem, czy bardziej uspokoiłby mnie widok własnego, pustego domu, w którym uschły wszystkie rośliny.

Czasopisma
internowanych
i więźniów 1981-1983

Warszawa Białołęka

1. AS 1981
2. Gazeta Białołęcka 1982
3. Kipisz Codzienny 1982
4. Koniem Przez Świat 1982
5. Kurier Białołęcki
6. Robotnik 1982
7. Serwis Białołęckiej Agencji Solidarności BAS 1982
8. Zza Krat Białołęki... materiały z więzienia w Białołęce 1982

Darłowo

9. Informator pismo internowanych w Darłowie, Darłowo 1982
10. Kurier pismo konspiracyjne, Darłowo 1982

Gdańsk

11. Serwis Informacyjny Więziennej Agencji Solidarności Aresztu Śledczego w Gdańsku 1982, 1983

Goldap

12. Informator Goldap, codzienny, numerowany, rękopiśmienny serwis w ośrodku dla internowanych kobiet, 1982
13. Internowanka (pismo internowanych kobiet) 1982
14. Wielki Post (pismo internowanych kobiet), 1982

Ilawa

15. Nasz Głos, Inter Nowa Zakład Karny w Ilawie 1982
16. Nasza Krata, 1982, 1983
17. Rozrywka Ilawska

Jaworze

18. BIJ Biuletyn Informacyjny Jaworze Solidarności Jaworze, 1982

Kielce Piaski

19. Gryps, tygodnik społeczno-kulturalny internowanych Kielce-Piaski, 1981-1982
20. Krata (pismo więźniów politycznych) 1982
21. Solidarność Internowanych (pismo więźniów politycznych) Kielce 1982

Konin

22. Azyl Internowany pismo niezależne od klawiszy Grupa Konińska w ZK Mielęcina 1981, 1982
23. Przegląd Koniński (Konin, Włocławek, Mielęcina) 1981

Kwidziń

24. Nasza Krata (pismo więźniów politycznych) 1982

Łęczycza

25. Bojownik Łęczyczycki, pismo „określonych kół” więzionych przez WRONE (Wojskową Radę Ocalenia Narodowego), ZK Łęczycza Wolna Oficyna 1983

Łowicz

26. Serwis Informacyjny Więzionych w Łowiczu Obóz Internowanych 1982

Nysa

27. Interwał pismo internowanych Nysa 1982
28. PAPuga TASSmańska pismo internowanych Nysa Ośrodek Osobnienia Internowanych 1982

Gdy tak siedzimy nad bimbrem...

Wiktor J. Mikusiński (w Białołęce od 18.02. do 8.11., następnie Kielce - Piaski do 23.12. 1982 r.)

Fragmenty dziennika obozowego

Białołęka 14.05.82 OZ-1 c.11 (OZ czyli Oddział Zamknięty, barak nr 1 przyp.aut.)

Przeżyliśmy dwa potopy – jeden ludzi których tu zamknięto od soboty, do dzisiaj przywieziono ok. 70 nowych, a drugi deszczowy.

Zacnę od tego drugiego gdyż bardziej nas dotknął. We wtorek, 1.05. zaczął padać deszcz. Jak zwykle pojawiła się na suficie plama i po jakimś czasie zaczęło kapać na środek celi a później na łóżko Gabrysia. Zastosowaliśmy normalne środki – szmata na podłogę, miska na łóżko. Deszcz padał jednak coraz bardziej, przez całą noc. Plama rozlała się na cały sufit, woda kapała na całą lewą połowę jak z prysznica a w końcu z otworu, w którym są kable od żarówki zaczęło lać jak z hydrantu. W popłochu zaczęliśmy chować nasze rzeczy, uciekać pod suchą część sufitu i po alarmie ewakuowaliśmy się do pustej celi 19, od muru. Ponura to była cela i noc. Cały dzień suszyliśmy się, sprzątaliśmy i w końcu przemeblowaliśmy celę. Sufit zalany jest do dzisiaj, ale cela przybrała nowy wygląd. Teraz sypialnie mamy przy drzwiach a w drugiej części celi, za łózkami po prawej – gabinet czyli dwie półki i stół do pisania, a po lewej jadalnię, czyli stół do jedzenia. W sumie tworzy to salon.

Nazwiska lokatorów łóżek:

Jacek Bukowski, Krzysiek Łazarski, Stefan Melak, Gabrys Janowski, Arkadiusz Melak

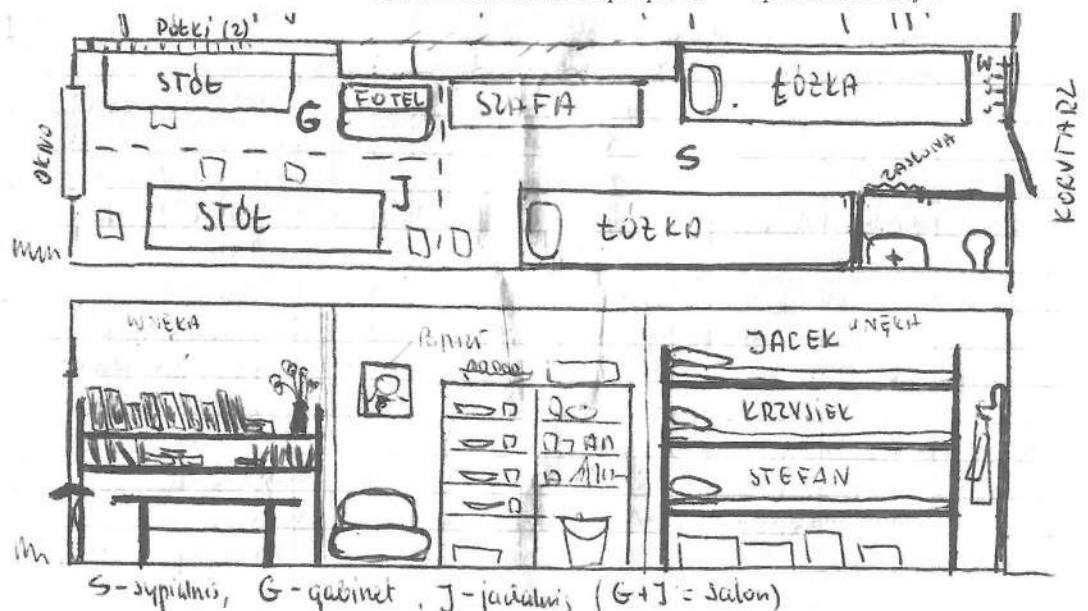
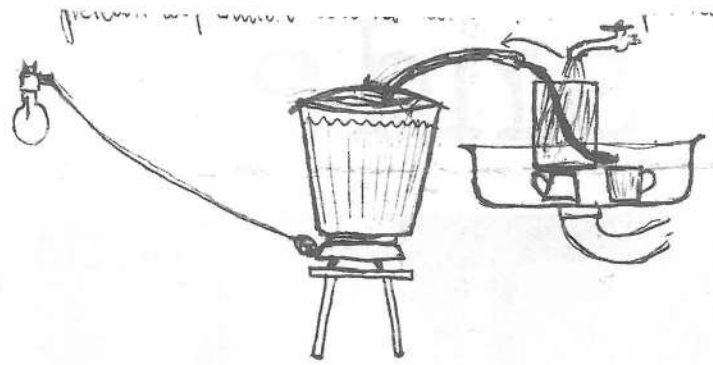
Obraz Karoliny – wiszący nad stołem obrazek narysowany przez Karolinę, siostrzenicę mojej żony. (przyp. autora)

Latem 1982 zelzał obozowy reżim w Białołęce. Internowani wykorzystywali każdą okazję aby zamianować swoją niezależność i przechrzyć klawiszów. Fachowcy przerabiali instalacje, aby mieć stały dopływ prądu, mimo wieczornego gaszenia światel przez klawiszów – i to było najważniejsze. Można było mieć w celi maszynkę elektryczną do gotowania, garnki i wiadro do przechowywania czarnej, zbożowej kawy lub kompotu. Jednym z przejawów niezależności i sprytu (może nienajlepszym) ale poprawiającym humor, było pędzenie bimbru – były to akcje w różnych celach, na różnym poziomie technicznym, trwające kilka tygodni w okresach, gdy nie było kipiszów.

Dziennik c.d.

18-24.09. Ludzie pocieszają się w różny sposób. Nasze dwie cele weteranów taśmowo produkują bimber na zmianę wykorzystując aparaturę. Właśnie wczoraj w nocy odbyło się pędzenie u nas. Otóż z OZ-1 przeprowa-

dzając się wzięliśmy wiadro zawinięte w koc. W wiadrze stał zacier – śliwki, woda drożdże i cukier. Robi się to również i z innych owoców. Stoi to przykryte pod łóżkiem 2-3 tyg., po czym precedza się do dużych słoików które stoją znowu z tydzień a w wiadrze dalej fermentuje się reszta z dodatkiem nowych owoców. I wczoraj wieczorem Paweł wyjął z szafy 4 słoje z półproduktem oraz odcisnął przez prześcieradło zawartość wiadra. Zabrany płyn o smaku i zapachu wina wlał z powrotem do wiadra. Następnie przy pomocy gwoźdźcia i dużych nożytek Irek zrobił mały otwór w przykrywie na wiadro oraz uszczelniał ją ciastem chlebowym. W łazience na taborecie ustawiona została maszynka, na niej wiadro. Mamy przerobiony kontakt i stały dopływ prądu. Maszynka zaczęła grzać. W otwór w przykrywie Paweł wsadził wygiętą lukowatą rurkę od anteny owiniętą bandażem, drugi koniec do chłodnicy w zlew. Chłodnica zrobiona jest z dużej puski po rurkach wafłowych. Po prostu do puski wstawia się wygiętą rurkę od anteny w kształcie litery S i robi się otwór z boku, przetyka dolny odcinek rurki uszczelnia chlebem, puszcza wodę z kranu do puski, a pod wystającą kawałek rurki podstawi kubek. Może po godzinie zaczęło lecieć i napalali 2 litrowe słoje.



Zabrze Zaborze

53. Głos Ekstremy obozowy serwis informacyjny Zabrze-Zaborze 1982

Załęże

54. Nasza Krata, Inter-Nowa 1982
55. Wolny Głos krakowski oddział internowanych 1982
56. Z Jednej Celi niezależny samorządny organ prasowy internowanych w Załężu NSZZ Solidarność

Bez miejsca wydania

57. Specjalny Biuletyn Solidarności Więzienniczej na Drugie Odwiedziny Jana Pawła II-go w Polsce 1983

oprac. Joanna Bachtin

TRZYNASTEGO GRUDNIA ROKU PAMIĘTNEGO.....

(Olszyna Grochowska, grudzień 1981/styczeń 1982)

13 grudnia – jak ta Polska cała nocą napadł na nas wróg od generała SB i milicja drzwi powyważali od płaczących dzieci matki zabierali A noc była mroźna i bardzo złowroga dzieci pozostały pod opieką Boga Mówili, łobuzy, że zaraz wrócimy że do szkoły dzieciom śniadanie zrobimy Sukami powieźli w nieznanne więzienia bramy zatrasnęli, znikąd ocalenia Syberyjski powiew ogarnął od proga wyłączone światło, lodowata woda Zamknęli w więzieniach wolności jaskółkę i za każdy sprzeciw obiecali kulkę Tak do rana przeszedł czas oczekiwania na ów komunikat generała drania Rano pan generał w radio nam objawił że już cały naród z ekstremy wywabił Tutaj w ciemnej celi dni nam jakoś płyną a tam na Wybrzeżu nasi ludzie giną Czarna śmierć do kopalń także zawitała na zbrodniczy rozkaz pana generała Tak rocznicę grudnia bandyci uczcili że polskich górników w kopalni zabili Rozpętlali wojnę przeciw narodowi bo chcą nas zastraszyć – zdradcy etatowi Przy taśmach w fabryce zacięty robotnik chciałby go zniewolić generał ochotnik Dziś naród milczący pod karabinami bardziej niebezpieczny niż przed wiekami Czystych rąk już nie masz, panie generale Historia rozliczy – nie miej złudzeń wcale

(Wrocław z wolności)

Trzynastego grudnia roku pamiętnego Premier Jaruzelski poszedł na całego Wypowiedział wojnę między Polakami będzie zbój wisił pomiędzy lotrami Bratnia krew przelana na marne nie pójdzie kto brata zabije, ten z życiem nie ujdzie Pozabierał ojców i chce zabrać synów musi spotkać kara takich sukinyń Zemsta będzie straszna, straszna będzie kara bo zwycięży naród i zwycięży wiara Sługusie moskiewski miej się na baczności kiedyś A Solidarność policzy ci kości Ty masz tylko siłę, lecz nie masz rozumu nigdy nie zwyciężysz zgniewanego tłumu Chociaż będzie terror, choć będą ofiary to TY nie unikniesz zasłużonej kary Nigdy nas nie zmusisz do pracy czołgami duch Lecha Wałęsy będzie między nami Gdy się zjednoczymy, gdy się znów zbratamy to najcięższą wojnę też w końcu wygramy Pokażemy wtedy, w czym tkwi nasza siła ale Ciebie lotrze pokryje mogiła

dałem je do obszernych kieszeni sutanny i do walizeczki z naczyńkami liturgicznymi. Nikt nie wiedział, czy będziemy rewidowani, ale obyło się bez rewizji, a prowadzący mnie do wyjścia strażnik zaoferował pomoc w niesieniu tej wypchanej listami walizeczki. Nie wiedział, co niesie, a ja miałem chwilę uciechy.

Prosto z Białołęki pojechaliśmy do Komitetu Prymasowskiego na Piwną, było bardzo dużo ludzi, zaczęliśmy segregować listy, by młodzież mogła je dostarczyć adresatom. Zadawano masę pytań, jak tam jest, w Białoleęce.

Przez wiele następnych dni różni ludzie telefonowali, przychodzili na furtę do seminarium, żeby dowiedzieć się czegoś o swoich bliskich, przekazać im wiadomości. W tych dniach także spotkałem się pierwszy raz z księdzem Jerzym Popietuszką. Byłem zdumiony tym, jak wielu spośród internowanych ks. Jerzy zna, doskonale orientował się w sytuacji.

Wszystkie dostarczane przesyłki szmuglowałem przy kolejnych wizytach do więzienia. Wiedziałem, że to nielegalne, ale ponieważ całe to internowanie i stan wojenny uważałem za bezeceństwo, więc oczywiście nie czułem się w najmniejszym stopniu skrupowany przepisami.

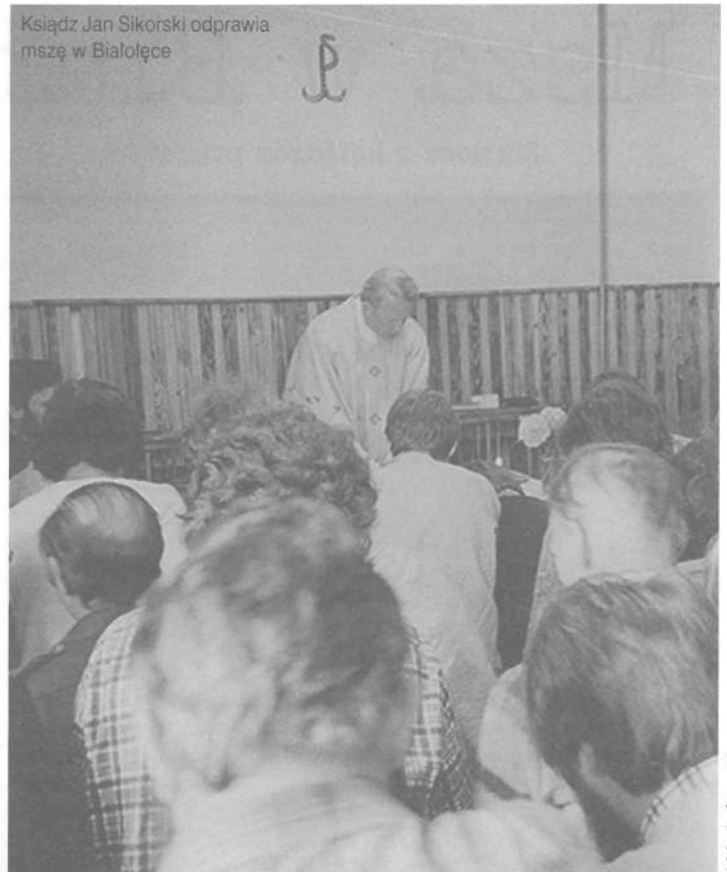
W czasie tej pierwszej wizyty internowani dali mi honorowe legitymacje, jedna dla Papieża, druga dla Prymasa i trzecia dla mnie – do dziś ją przechowuję. Tego dnia wyjeżdżał z Polski specjalny wysłannik Papieża abp Luigi Poggi, zdążyłem jeszcze na Dworcu Gdańskim dać mu tę legitymację dla Papieża.

– Czy wiedziałeś, jak działali duszpasterze w innych ośrodkach internowanych?

ks. J.S.: – Bezpośrednich kontaktów z innymi ośrodkami i działającymi tam księżmi nie miałem. Wiem, że ks. Dembowski jeździł do innych ośrodków.

– Nie pamiętam dokładnie, ale jakoś pod koniec zimy 82 roku coś się zaczęło zmieniać. Władze zgodziły się na wizytę księdza Prymasa w Białoleęce, w związku z tym uczestniczyłem w rozmowach dotyczących usługi religijnej dla internowanych. Szczególnie ostro stawiano sprawę „krajówki” (tak w skrócie nazywano członków Komisji Krajowej „Solidarności”). Krajówka była przetrzymywana oddzielnie od reszty internowanych. Warto wspomnieć pewne konkretne wydarzenia. Po mszy św. dla internowanych zacząłem się domagać spotkania z krajówką. Władze więzienia piętrzyły trudności, że za późno itd. Wówczas zaproponowałem, że ograniczymy spotkanie do udzielenia komunii św. To również okazało się niemożliwe. Zagroziliśmy z ks. Opiełą, że nie wyjdziemy, jeśli nie spotkamy się z krajówką. Po pewnym czasie zawarliśmy kompromis, obiecano nam, że w przyszłym tygodniu odbędzie się msza św. dla krajówki. Wówczas – po to by nie nosić ze sobą konsekrowanych komuniaków – udzieliłem komunii św. ks.

Ksiądz Jan Sikorski odprawia mszę w Białoleęce



©Mark Cairrot*

Opiełi. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że wpłynął meldunek od władz więziennych, że Sikorski podawał Opiełi grypsy, a ten je zjadał.

– Pamiętam bierzmowanie w Białoleęce, prawie wszyscy uczestniczyli w mszach św., choć wielu z internowanych wcześniej nie praktykowało. Czy uważałeś to raczej za gest polityczny, czy powrót do Kościoła?

ks. J.S.: – Ja witam wszystkich, którzy przyszli na mszę św. Nie pytam, z jakiego powodu, po prostu sprawuję liturgię dla zgromadzonego ludu bożego.

Obserwowałem także – w czasie pracy duszpasterskiej w Białoleęce – wiele autentycznych nawróceń, aktów wiary. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie wypowiedź jednego internowanego, powiedział: „boję się, żeby moi synowie nie zaczęli nienawidzić”. Chodziło o to, że został na oczach całej rodziny brutalnie wyprowadzony z domu w nocy 13 grudnia. Przedmiotem jego troski było sumienie, dusze jego synów, to dla kapłana znak gorącej wiary i działania Łaski Bożej.

Na pewno dla wielu motywów polityczne były ważne, ale ja przecież także czułem, że to, co się dzieje, te zgromadzenia modlitwne internowanych, mają również znaczenie w wymiarze całkiem świeckim, politycznym i było mi to w tej płaszczyźnie bardzo bliskie. Politycznie, po świecku byłem jakby jednym z nich.

Do bierzmowania przystąpiło kilkunastu internowanych, nie robili tego z motywów politycznych.

– Nasze kontakty przetrwały. Po zwolnieniu z obozów uczestniczyliśmy w mszach dla byłych internowanych w kościele seminaryjnym. A na-

wet... świeccy głosili polityczne „komunikaty”?

ks. J.S.: Po wypuszczeniu wszystkich, w grudniu 1982 r., w kościele Św. Marcina odbyła się msza św. Przyszło bardzo wielu byłych internowanych. Już po mszy ktoś z Białoleęki powiedział, że powinniśmy utrzymać tradycję spotkań. Niewiele się namyślając, podałem termin: pierwsza niedziela po 13 każdego miesiąca w kościele seminaryjnym, i tak to się zaczęło. Nie było żadnych teologicznych czy religijnych przeciwskazań, by w porze ogłoszeń parafialnych pojawiały się wystąpienia wiernych dotyczące ważnych spraw dla społeczności, jest to element życia duszpasterskiego.

Oczywiście SB zareagowała natychmiast, ale moi przełożeni uważali tak jak ja, że wystąpienia wiernych są ważne ze względów duszpasterskich i należy to utrzymać. Potem powstała tak zwana „Rada parafialna byłych internowanych i więźniów politycznych”, sam byłem jej współzałożycielem i autorem większości publicznych wystąpień. – Czy kontakt z internowanymi miał jakiś wpływ na Twoją dalszą pracę przed i po 89 roku.

ks. J.S.: – Niewątpliwie tak, przede wszystkim to od internowanych zaczął się mój główny kontakt z opozycją. Później, jako proboszcz parafii św. Józefa, umożliwiałem różnym grupom opozycyjnym spotkania w domu parafialnym. Ponadto, zapewne pamiętasz, bo przecież razem zaczęliśmy organizować duszpasterstwo więźniów „kryminalnych”, jak ich nazywaliśmy, w całej Polsce. Przez 10 lat kierowałem tym duszpasterstwem.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Jacek Szymanderski

Franciszek Drzewiński, celn nr 28

Byłem w Białołęce

Kilka słów o kolegach. Najpierw z mojej celi.

Nasz nestor, pisarz Aleksander Małachowski. Był z nami dwa dni. Znalazł się w pierwszej grupie osób wywiezionych z Białołęki do Jaworza. Zapisał się w mojej pamięci wieloma ciekawymi opowieściami, a miał co wspominać. Siedział w więzieniach radzieckich, niemieckich i PRL-owskich. Zdaniem Małachowskiego, któregoś dnia, wszystkich internowanych zwożąc do jakiejś nieczynnej radzieckiej kopalni za Uralem, w kopalni nastąpił tąpnięcie i władze PRL pozbędą się kłopotów z Solidarnością.

Najmłodszy w mojej celi – Adam Winiarczyk. Działacz Niezależnego Zrzeszenia Studentów, student Uniwersytetu Warszawskiego. Chłopak o szerokich zainteresowaniach. W ramach naszego więziennego samokształcenia, wygłaszał wykłady o języku, słowotwórstwie, wspólnocie ludzkiej mowy. Adama przewieziono do Białołęki bez żadnej ciepłej kurtki, bez palta, a przez co najmniej pierwsze dwa tygodnie panowały ostre mrozy. Nie mieliśmy jeszcze wówczas paczek z odzieżą, nie mieliśmy więc czym się z kolegą podzielić, ale nawet w mroźne dni Adam nie rezygnował ze spacerów.

Antoni Pawlak – literat. Członek Komisji Kultury Regionu Mazowsze. Biegący przez łąkę chłopczyk na znanym, wydanym z okazji Zjazdu Solidarności plakacie, to synek Antka. Milicja zabrała Pawlaka w nocy dwunastego grudnia z siedziby Regionu Mazowsze; Antkowi udało się wówczas wsunąć do swojej torby radio. Bardzo nam się później przydało.

W pierwszych dniach stycznia, Pawlak napisał do komendanta naszego obozu (był nim wówczas major Krawczyński) pismo, w którym wnosił o poczynienie przez kierownictwo Białołęki starań, aby internowani mogli oglądać w telewizji zapowiedziane na czerwiec mistrzostwa świata w piłce nożnej. Na pytanie Krawczyńskiego, czy to przypadkiem nie kpiny, przecież do czerwca jeszcze parę miesięcy, Antek odpowiedział poważnie, iż zna socjalizm i wie, że załatwienie czegośkolwiek w państwie socjalistycznym jest procesem skomplikowanych i długotrwałym. – Być może – dodał – potrzebne będą decyzje najwyższych władz państwowych.

W trzeciej dekadzie stycznia, Antka Pawlaka wywieziono do Jaworza, zdążył się już z nami zżyć, więc bardzo to rozstanie przeżywał.

Sławomir Zborowski – wiceprzewodniczący Rady Pracowniczej Domu Słowa Polskiego. Jako że był drukarzem, nałożyliśmy na niego obowiązek codziennego drukowania na ścianie kibla kolejnych upływających dni. Mieliśmy więc kalendarz internowania. Sławek obawiał się, że w czasie przesłuchań, SBecy będą próbowali szantażować go, podzrucając mu róż-

ne wiadomości o nieszczęściach dotyczących jego rodziny. – Nie wiem, jak się zachowam – mówił – kiedy mi powiedzą, na przykład, że moje dziecko jest ciężko chore. Naprawdę boję się tego. Próbowaliśmy go uodpornić, inscenizując w celi przesłuchania, przedstawiając różne warianty SBekich szantaży.

Franciszek Wróblewski, jeden z licznej reprezentacji w Białołęce Komitetu do spraw Radia i Telewizji. Technik – elektronik, kierownik zmiany ekip magnetowidowych w Dzienniku Telewizyjnym. Aktywny działacz Solidarności telewizyjnej. Z codziennej praktyki, Franek wiedział jak w Dzienniku manipuluje się nadchodzącymi ze świata relacjami filmowymi, znał to wszystko od podszewki. Protestował przeciwko fałszerstwom, manipulacjom i prowokacjom Dziennika, czego nie mogli mu wybaczyć jego telewizyjni koledzy – SBecy.

Jarosław Potapowicz, inżynier z Zakładów Wytwórczych Urządzeń Telekomunikacyjnych. Specjalista od komputerów. Był w ZWUTcie członkiem Komisji Zakładowej Solidarności, przedstawicielem zakładów na Walne Zebranie Delegatów Regionu Mazowsze. Czas w Białołęce wypełniał studiowaniem książki o szachach i rozwiązaniem teoretycznych wariantów gier.

Stefan Kawalec, matematyk, członek Zarządu Regionu. Jednego z pierwszych dni pobytu w Białołęce naderwał mięsień w łydce. Wspominam to, bo tylko ten kto to przeszedł, może coś wiedzieć na temat piekielnego bólu, jaki towarzyszy naderwaniu mięśnia. Stefan znosił ból bez słowa skargi, chociaż nocami nie spał.

Leszek Piaseczny, przewodniczący Komisji Zakładowej w Głównym Urzędzie Telekomunikacyjnym. To właśnie Solidarność w jego instytucji założyła w Regionie Mazowsze teleksy wtedy, kiedy władze miejskie stwierdziły, że nie ma ku temu technicznych możliwości.

Zabawna historia związana jest z Janem Kłopotowskim. Przez pięć dni leżał na przy- czy twarzą do ściany i prawie w ogóle się

nie odzywał. Po pięciu dniach, wezwano go na rozmowę z SBekami, po której wrócił rozpromieniony. Powiedział nam wtedy, że jest dyrektorem departamentu w Ministerstwie Rolnictwa; to on właśnie podpisywał w Ustrzykach Dolnych, w imieniu rządu, umowę z Solidarnością Rolników Indywidualnych. W Białołęce znalazł się wskutek nieporozumienia. Nazwisko – Kłopotowski, nosi sekretarz zarządu Regionu Mazowsze. Kłopotowskich pomyłono, internowano niewłaściwego. Nie pomogły żadne wcześniejsze tłumaczenia naszego współtowarzysza; dopiero teraz sprawa się wyjaśniła. Kiedy towarzysz dyrektor, w dobrym już nastroju, opuszczał celę, poprosiliśmy go o przekazanie naszym rodzinom, które nie wiedziały jeszcze gdzie jesteście, wiadomości o nas. Obiecał to.

Jedną z najbarwniejszych postaci w Białołęce był Adam Michnik. Zamykano go nie raz i jego aresztowaniu towarzyszył zwykle ustalony już rytuał. – Chcicie mnie zabrać, no to mnie nieście – mawiał zazwyczaj przy takich okazjach Michnik i kładł się na podłogę. I tym razem, owej grudniowej nocy, kazał się bezpiecznie zanieść do stojącej przed domem sukki milicyjnej i wynieść do komisariatu. SBecy wynieśli swojego klienta z domu, wnieśli do komisariatu. Ktoś to zauważył. W świat poszła wiadomość o brutalnym potraktowaniu, o pobiciu Michnika.

Przybywszy do Białołęki, Adam zażądał od komendanta uzupełnienia biblioteki więziennej dziełami Marksa. – Mam teraz dużo czasu, chcę je dokładnie przestudiować (...)

Maciej Zembaty – satyryk, aktor, autor piosenek, w znacznej większości uznanych za piosenki zakazane. Komendant obozu pozwolił, aby rodzina przyniosła Zembatemu do Białołęki gitarę, ale wkrótce kazał mu ją odebrać, uznając śpiewane w celi piosenki za wywrotowe.

To właśnie Maciej Zembaty razem z Adamem Suwalskim napisali w Białołęce słowa do kolędy „Bóg się rodzi – 81”.

Bóg się rodzi, a Polacy po więzieniach rozrzućeni,

Bo marzyła im się Polska niepodległa na tej ziemi...

(...)

Brodniśław Geremek, historyk, znawca średniowiecza. Był w Białołęce niekwestionowanym autorytetem; wybraliśmy go przewodniczącym samorządu internowanych. Jego podpis widnieje na sporządzonych przez nas w Białołęce legitymacjach. Profesor Geremek uczestniczył w głodówce podjętej przez internowanych czwartego stycznia na znak protestu przeciw zaostrzeniu rygorów więziennych. Po dziesięciu dniach głodówki wywieziono go z baraku i wywieziono do innego obozu.

Zdzisław Szapkowski, redaktor katolickiego miesięcznika *Więź*. Mój częsty towarzysz podczas więziennych spacerów. Robił nam w Białołęce wykłady na temat początków chrześcijaństwa w Polsce.

Człowiek – legenda Antoni Heda, pseudonim Szary. W czasie okupacji hitlerowskiej był dowódcą oddziału AK, a po wojnie, wraz ze swoim oddziałem, odbijał AKowców z Ubeckich więzień w Kielcach, Radomiu i Olszynie Grochowskiej. Aresztowano go na Wybrzeżu w 1947 roku i wkrótce potem, w szeregu procesów, dostał od władzy ludowej siedem wyroków śmierci oraz dwa dożywocia. Uniewinniony został na fali odwilży w 1956 roku. Heda był zdania, że przetrwał więzienia, bo umiał się modlić; człowiekowi niewierzącemu trudno byłoby przetrwać ten koszmar. Ostatnio, Antek zajmował się... uprawą pomidorów na zużlu, a cały wolny czas poświęcał Solidarności. Jego optymizm podtrzymywał nas na duchu.(...)

Bolesław Tęcza, robotnik, przewodniczący Komisji Zakładowej Solidarności w Mennicy Państwowej. Oddany Związkowi bez reszty. Kiedy zachorował w Białołęce na zapalenie płuc, zaopiekował się nim współtowarzysz niedoli doktor Wojtek Celiński.

Liczną grupę internowanych w Białołęce stanowili pracownicy Radia i Telewizji: przewodniczący Komisji Zakładowej Solidarności Radiokomitetu w Warszawie Piotr Mroczyk, obaj wiceprzewodniczący: Jan Moczulak i Zygmunt Gutowski, naczelnik wydziału techniki w Telewizji Adam Brodziak, Andrzej Jeleński z Radia, pracownicy Dziennika Telewizyjnego: bracia Konrad i Piotr Hałaczekiewiczowie, Andrzej Żurowski, Paweł Chęciński, Andrzej Nowelski i wspomniany już kolega z celi Franek Wróblewski. Pod koniec stycznia dołączył Krzysztof Oczkowski z Radia Solidarność.

Wspominam tu tylko niektórych. Tych, z którymi dzieliłem celę, tych, z którymi spotykałem się na więziennych spacerach i tych, których znałem jeszcze przed internowaniem.



©Mark Carrot*

liśmy monopole

jąc na moją odpowiedź, z wyraźnym zadowoleniem powiedział – rozumiem, że mam powiedzieć, że Pan jak zwykle nie wyjdzie z celi na spotkanie z nimi.

Na początku niektórzy spośród nas byli przekonani, że cały kraj powstanie do generalnego strajku, że to kwestia dni i wyjdziemy z więzienia. Ja uważałem, że należy się nastawić na długie siedzenie, później też byłem zdania, że nie należy spekulować na temat potencjalnych terminów zwolnienia z internowania. I to okazało się zbawienne... Inaczej można było się psychicznie spalić, co niektórym się przydarzyło. Jak się siedzi, trzeba coś robić: dyskutować, grać, czytać, uczyć się języków obcych.

Co nadawało koloru naszej egzystencji? Żeby zabić nudę i odpędzić natrętne myśli, starliśmy się dokuczyć komunie. Oczywiście każdego 13-go o północy urządziliśmy zadymę polegającą na waleniu miskami w kraty, taboretami w drzwi cel oraz wykrzykiwaniu na całą Białogłę przez otwarte okna hasła niekoncepcyjnie cenzuralnych: „Orla WRONa nie pokona, prędzej skona pierdolona”, co było słyszalne za murem, również w blokach mieszkalnych rodzin więziennych funkcjonariuszy (WRON – Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego z gen Jaruzelskim na czele).

Ale dopiero przełamywanie monopoli państwowych to było to. Choćby i takie: potrzebny był nam prąd, a w celi jedynym miejscem odbioru energii elektrycznej jest żarówka pod sufitem. Trzeba było bez specjalnych narzędzi tak zmodyfikować instalację, żeby po wyłączeniu z korytarza światła, w celi nadal był prąd. Prąd w celi dawał duże możliwości – można zainstalować lampkę nocną do czytania lub gry w szachy, czy karty. Używając drutu, zapalek oraz dwóch zyletek, można było skonstruować wysoce wydajną grzałkę mogącą zagotować dużą ilość wody koniecznej do zaparzenia więziennego przysmaku z herbaty czyli tzw. parzaczki.

Zaczelśmy wydawać własną bibułę. Z pomocą ołówka i kalki przepisywaliśmy różne treści: z widzeń, od księży, z nasłuchu, a źródłem informacji był tu Głos Ameryki, BBC i Wolna Europa. Miałem w celi przemycone z zewnątrz mini radio schowane w pudełku od zapalek, z baterią paluszkami w środku i małą słuchawką na kabelku. Takie wynalazki były przygotowane przez elektroników zaangażowanych w podziemną działalność. Słuchałem Radia Wolna Europa na nie zgłoszonej częstotliwości. W ten sposób oprócz państwowego monopolu prasowego przełamaliśmy monopol radiowy, a następnie kolportażowy. Kolportowaliśmy tę bibułę podczas wyjścia na spacerniak, przy wychodzeniu z celi można było wsunąć pod drzwi sąsiedniej celi albo przy pomocy trzonka łyki wywiercić dziurę w ścianie tuż przy ru-

rze kaloryfera prowadzącej z celi do celi i wsunąć kartkę zwiniętą w harmonijkę. Poznaliśmy też więzienne sposoby komunikacji. Pukało się w ścianę i wrzeszczało przez okno do sąsiadów: „zapucuj się do lipa”, a potem „kopsnij łolę”. Wtedy z sąsiedniej celi wystawiali przez okno kij od szczotki, natomiast przekazujący wystawiał rękę z zawiniątkiem na sznurku (kobyłą), zarzucał jak lasso, a sznurzek z przesyłką owijał się wokół kija.

Robiliśmy własne koperty i znaczki. Na gumce myszce, na kawałku pcv nacinaliśmy motyw i to stanowiło matrycę. Naszczało się ją tuszem, którego doskonałym źródłem były m.in. wkłady z flamastrów. Trafiły też przemycane małe buteleczki z tuszami używanymi przez artystów-grafików. Pierwszy znaczek powstał jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Zrobiony bardzo prymitywnie, o ile pamiętam zamiast tuszu użyto preparatu z czarnej pasty do butów. Technologia robienia znaczków została doprowadzona do perfekcji: powstawały nawet znaczki i bloczki z ząbkowaniem. Prawie w każdej celi działała mała poligrafia. Nazywaliśmy to obozową pocztą internowanych, nieco na wyrost wzorując się na obozach jenieckich z II wojny światowej.

Moja cela, jako „niegrzeczna”, dostała odmowę sprowadzenia telewizora na Miśtrzostwa Świata w Piłce Nożnej Espana'82. Złatwiłem więc przemyt do celi miniaturowego telewizora produkcji estońskiej (wówczas jeszcze ZSRR). Mimo zachowania konspiracji w jego użytkowaniu, więzienna władza jakoś się tego dopatrzyła. Przyszedł więc klawisz do mnie z taką grzeczną prośbą: Panie Goliszewski, jak już pan ma ten telewizor, to niech pan napisze do komendanta podanie o zgodę na pozostawienie telewizora. Bo w Białogłę o każdą rzecz trzeba było pisać podanie do komendanta: o paczkę, o widzenie, o wszystko.

Przełamaliśmy monopol aprowizacyjny. Mając niezależny prąd, kuchenkę, garnek, imbryk, zacząłem nieco pitrasić. Wydawałem obiady dla kolegów z celi, a latem na zakupie ze świeżych produktów zaglądał m.in. Janek Lityński. Już nie jadaliśmy potraw więziennych, jak np. betoniarzy, czyli ohydnej papki z marchwi i grochu. Od Komitetu na Piwnej dostawaliśmy ubrania, żywność i środki higieniczne, bardzo często pochodzenia zagranicznego. Z czasem nasze cele wyglądały jak dobrze zaopatrzone sklepy Peweksu. Część tych produktów zanosiliśmy na widzeniach naszym rodzinom, które borykały się na co dzień z brakiem praktycznie wszystkiego. Przy okazji na zewnątrz przemalowałem różne rzeczy. Trzeba było umieć tak sprytnie otworzyć pudełko Omo lub Persilu, żeby nie można się było zorientować, że zostało otwarte i coś dołożone do środ-

ka. Konstruowałem drugie dna w takich pudełkach.

W celi zawsze można było mieć sprytnie kryjówki. Można było sedes odkręcić i przykręcić, i schować pod nim aparat. Tak na poważnie fotografią zająłem się w czasie Karnawału Solidarności. Jak mnie zamknęli, nie miałem żadnego aparatu przy sobie. Rodzina na początek przemyciła taniutką Smienę i filmy. Zrobiłem ze trzy rolki. Fotografowałem kolegów w celach, w łaźni, na spacerunku. Na krótko trafił mi się Olympus XA. Nieduży, obły kształt, znakomicie nadawał się do ukrycia w ślupach w przypadku pobieżnego przeszukania. Żeby mieć dobre skrytki zbierałem wszystkie miękkie paczki po wypalonych papierosach. W liczbie kilkuset na siłę wciśnięte w żeberka kaloryfera celi stanowiły znakomitą kryjówkę dla małych przedmiotów. Po rozluźnieniu stanu osobowego w celi, na niewykorzystywanych najwyżej położonych pryzcach zgromadziliśmy rozmaite wielkości pudełka z paczek, jedno w drugim schowane jak rosyjskie matroszki, było ich kilkadziesiąt i tylko my wiedzieliśmy, w którym pudełku jest coś trefnego. Jako że jeden z nas mógł zostać w czasie kipsiszu (uzasadnialiśmy to tym, że nie mamy żadnej gwarancji, że nam czegoś nie podrzucą albo nie zwina), kiedy klawisz wspiął się po stelażach przyz na górę z zamiarem grzebania w pudłach, mówiło się: – Panie, brudzi pan butami naszą pościel! No i facet odpuszczał.

Ostatnim monopolem, jaki przełamaliśmy, był monopol spirytusowy. Dostaliśmy potężny transport śliwek z Kalifornii. Nie dało się ich wszystkich zjeść. Z jednym z kolegów przeszliśmy się po celach (można było już wtedy spacerować między celami, był już pewien luz), zebraliśmy wiadro fermentujących śliwek, postawiliśmy pod jedną z przyz w naszej celi, nasypaliśmy cukru. I rozpoczęliśmy pędzenie bimbru. Wystarczył garnek z przedziurawioną pokrywką na rurkę (konstrukcja była mocno związana drutem i uszczelniona masą z chleba), rurka pozyskana z uszkodzonej grzałki do gotowania wody, puszka po soku Dodoni adaptowana na chłodnicę (z zimną wodą z kranu) i na końcu naczynie do odbioru alkoholu. Oczywiście niezbędne było wydajne źródło ciepła, jaką była maszynka elektryczna. Wszystko to odbywało się w świetle żarówki ciemnio-

wej czyli dyskretnie, przy zasłoniętym od wewnątrz judaszu w drzwiach. A w nowy żaden dyżurny klawisz nie otworzył znieznaka celi. W ten sposób nocną porą potrafilimy zrobić pół litra sliwownicy. Ona zaś okazała się niebawem bardzo przydatna.

25 sierpnia, w ramach likwidacji obozu w Białogłę, rozwieziono nielicznych już internowanych do dwóch różnych miejsc. Ja byłem w grupie tych, których tzw. suką przewieziono do obozu w Strzebielinku niedaleko Wejherowa w województwie gdańskim. Kilkanaście godzin jazdy w niewiarygodnym upale i duchocie, jechało nas osiemnastu. Nasze nastroje poprawiła butelka z bimbrem, którą zabrałem wraz z częścią dobytku. Puściłem flaszkę obiegom i nasz „przedział” wytrwał dzielniej niż sąsiedni.

Pobył w Strzebielinku, to temat na osobną opowieść. Bardzo dużo ten ośrodek internowania różniło od tego co znaliśmy z Białogłęki. Opowiem tylko o konsekwencjach pewnego mojego grypsu wysłanego stamtąd na Piwną. Z powodu niespodziewanej przeprowadzki, uległ uszczupleniu mój stan posiadania. Jeśli chodzi o rzeczy prozaiczne, to poprosiłem w nim m.in. o czajnik do gotowania wody na herbatę, najwycyżajniej w świecie. W odpowiedzi Maja Komorowska-Tyszkiewicz, znana aktorka i członkini Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, wyraźnie nawiązując do naszych wcześniejszych wyczynów z produkcją „księżycówki”, przytomnie mnie zapytała: – czy rurka też będzie potrzebna?

Przy okazji internowania otarłem się o trzech przyszłych prezydentów. W tym samym czasie, choć nie w tej samej celi siedziałem: w Białogłę z Bronisławem Komorowskim, w Strzebielinku z Lechem Kaczyńskim. 7 listopada Wolna Europa podobno doniosła o dwóch zwolnieniach. Radio podało, że zwolnili Lecha Wałęsę z Arłamowa i Jarosława Macieja Goliszewskiego ze Strzebielinka. Minęliśmy się gdzieś w połowie Polski jadąc do swoich domów.

Te wspominki dedykuję przede wszystkim dwóm wspaniałym kolegom z „internatu”: Stefanowi Melakowi z Białogłęki i Arkadiuszowi „Aramowi” Rybickiemu ze Strzebielinka, którzy zginęli 10 kwietnia 2010 w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. Notowała Joanna Herman

Jarosław Maciej Goliszewski. Zaangażowany w działalność niezależną od 1976 r., współzałożyciel „Solidarności” w Centrali Narodowego Banku Polskiego, gdzie pracował jako informatyk, członek prezydium Komisji Zakładowej. Internowany w Białogłę i Strzebielinku (13.12.1981-07.11.1982). Fotograf-dokumentalista czasów pierwszej „Solidarności”, stanu wojennego, opozycji demokratycznej, kultury niezależnej, pielgrzymek Jana Pawła II do Polski, Okrągłego Stolu i początków III Rzeczypospolitej; współautor z Erazmem Ciolkim 2 sesji zdjęciowych z udziałem Lecha Wałęsy i kandydatów na parlamentarzystów w wyborach 4 czerwca 1989. Od 1996 współzałożyciel i współwłaściciel agencji fotograficznej EPOKA. Autor wielu publikacji prasowych, książkowych i wystawienniczych. Odznaczony Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” (2001) i Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta (2006).

Wojskowe Obozy Specjalne

Czerwony Bór

„Mężczyzn skoszarowano po 50 w barakach. Barak to były trzy bydłce wagonny. Takich baraków – gotowych na przyjęcie nawet 2 tys. ludzi – było kilkadziesiąt. W środku piecyk na drewno, który miał ogrzewać barak przy 15-stopniowym mrozie. [...] W nocy zaczęliśmy przymarzać do łóżek. Ci, którzy spali dalej od „kozy” zamieniali się na łóżka z tymi, którzy spali bliżej. Przy piecyku całą noc ktoś dyżurował, bo inaczej byśmy tam po prostu pomarli z zimna”.

Gdyby zapytać, z jakiego okresu pochodzą te wspomnienia, zapewne niewielu wiedziałoby, że jest to opis doświadczeń działaczy „Solidarności”, którzy w listopadzie 1982 r. trafili do Wojskowego Obozu Specjalnego w Czerwonym Borze. Ta nazwa, jak i sama informacja o istnieniu wojskowych obozów, w których więziono działaczy Solidarności nadal jest „białą plamą stanu wojennego”.

Akta IPN 0236 / 263 tom 1

21 października 1982 roku dyrektor Departamentu V MSW w Warszawie płk. Józef Sasin wystosował do zastępców komendantów wojewódzkich MO do spraw SB pismo, w którym nakazał do 23 października 1982 roku wytypować osoby rekrutujące się głównie z dużych zakładów pracy, podejrzane o inspirowanie i organizowanie strajków i zajęć ulicznych, druk, kolportaż, łącznikowanie, a nie nadających się (czyt. z braku dowodów) do internowania lub zatrzymania.

29 października 1982 roku Departament III MSW sporządził wykaz osób wytypowanych do odbycia zasadniczej służby wojskowej lub ćwiczeń wojskowych. Tego rodzaju wykazy trafiły do kilkudziesięciu WKU w całym kraju. Z powyższego wynika, że SB ściśle współpracowała z WSW.

Leszek Jaranowski: Czerwony Bór – nikt z nas nie wiedział, gdzie to jest. Na mapie, nazwa Czerwony Bór nie istniała. Co to za białe niedźwiedzie, jakieś takie? Potem się okazało, że to głęboko na północnym wschodzie. Między Łomżą, a Zambrowem. Poligon wojskowy.

Jarosław Szarek (IPN Kraków): Pierwsze osoby do tych obozów trafiły przed ogłoszonym przez podziemne kierownictwo Solidarności na 10 listopada 1982 roku strajkiem generalnym, który miał być odpowiedzią na delegalizację „Solidarności” przez ówczesny Sejm PRL. Potem były również gorące daty: pierwsza rocznica stanu wojennego 13 grudnia, kolejna rocznica wydarzeń grudnia 1970 na Wybrzeżu, rocznica strzałów pod kopalnią „Wujek” 16 grudnia. Władza przewidywała, że te daty, te rocznice będą w jakiś sposób momentem aktywniejszej działalności „Solidarności”. Chcąc się przed tym zabezpieczyć, a nie chcąc przeprowadzać aresztowań, wykorzystano te obozy wojskowe, żeby odizolować ludzi.



Leszek Jaranowski: Jak się znalazłem na dworcu, sprawa zupełnie się wyjaśniła. Patrzę, stoi multum ludzi młodych, wszyscy do tego samego pociągu wsiadają. Wsiadliśmy w Czerwonym Borze, dołączyli do nas ludzie z innych miejscowości. Okazało się potem, że w zasadzie byli z całej Polski. Potężny teren, poligon wojskowy, czolgowisko, obrośnięte lasem. Dla kogoś, kto nie zna terenu, żadnego ogrodzenia nawet nie trzeba było – nie wiedziałby, w którą stronę iść i jak długo, bo to wielkie, potężne przestrzenie. Potężne lasy i nic w koło.

Kazimierz Łapczyński: Z Krakowa jest nas dokładnie 123 osoby, głównie z Huty. Część osób z „Solidarności”, tej sprzed stanu wojennego. Część osób, które były wcześniej internowane i wypuszczone. Biorą ich po wypuszczeniu po dwóch tygodniach. Są tam podoficerowie, oficerowie i osoby, które nigdy nie były w wojsku.

Jedna osoba poruszała się o kulach. Na stółkę mamy około 3 kilometry, więc ta osoba robi około 18 kilometrów dziennie.

Leszek Jaranowski: Człowiek podpierał się łaską, wyraźnie tukał. Jeden z nich nie miał trzech palców. Co to za wojsko?

Adam Siatka: Dwie trzecie stanu osobowego to byli ludzie, którzy nie mieli za sobą wcześniejszej służby w wojsku.

Kazimierz Łapczyński: Jesteśmy zakwaterowani w wagonach towarowych. To jest dla nas przyszykowane i jeszcze nie wykończony. Obite deskami, przykryte eternitem falistym. Jest bardzo ciasno, w koło są piętrowe łóżka. Dla jednej osoby było jakieś 50 do 60 cm miejsca. Nie można się było ubrać. Przesłuchiwani jesteśmy cały czas przez Wojskowe Służby Informacyjne „Czerwonych Beretów”.

Adam Siatka: Przedstawiono nas tam troszkę inaczej. Naszym dowódcom powiedziano, że mają do czynienia z jakimś ele-

mentem przestępczym, z kryminalistami z jakimiś tam wyrokami.

Leszek Jaranowski: Przebrali nas. Ostrzygli paskudnie, bardzo wysoko. Pagonów nam nie dali. Większa część osób zamkniętych w tym Czerwonym Borze to byli żołnierze, którzy już mieli jakieś stopnie wojskowe.

Adam Siatka: Miałem specjalność wojskową, byłem łącznościowcem. Zostałem „zaproszony” do zrobienia łączności telefonicznej między tym obozem, a jednostką macierzystą, która w odległości około trzech kilometrów była od tego obozu. Nawiasem mówiąc, dowódca tej jednostki to był członek Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Bliski współpracownik generała Jaruzelskiego.

Leszek Jaranowski: Próbowali nas szkolić. Śmiech z tym całym szkoleniem. Oni chcieli, myśmy się nie dawali – to normalna sprawa. Próbowali nam robić tzw. szkolenia polityczne. Bardzo szybko z tych szkoleń zrezygnowano, bo ciężko się z nami rozmawiało.

Adam Siatka: Wielką głupotą było robienie ze wszystkich saperów. Każdy się z tego śmiał. Jak można zrobić z chłopaka, który nigdy nie był w wojsku, od razu sapersa. Były ćwiczenia z tymi minami, oczywiście atrapami, z tym, że istniało takie niebezpieczeństwo, że w każdej chwili ktoś może zamienić. Może stać się jakaś tragedia.

Kazimierz Łapczyński: Na drodze są ustawione posterunki, żeby nikt tam nie dojechał. Rygor typowo wojskowy. Budują nami drogę ze śniegu donikąd. Łopaty, gułag taki polski. Taczki i ze śniegu budujemy drogę przez poligon wojskowy. Pisaniem zazalenie do Głównego Zarządu



Wojska Politycznego, z tego względu, że tam są lamane wszelkie regulaminy. Bo regulamin jest między innymi taki, że podoficerowie, oficerowie mogą pracować w wojsku, ale tylko z równymi sobie stopniem. Nie mogą pracować z szeregowcami. To wszystko zostało złamane. Pozbawieni jesteśmy pójścia do kościoła. Konstytucja to zapewniamy.

Adam Siatka: Wyprowadzanie w nocy w samych tenisówkach do lasu za to, że śpiewaliśmy pieśni w naszych domkach. Czyli byli oficerowie naprawdę gorliwi, którzy wierzyli w to, co robią.

Kazimierz Łapczyński: Nie było żadnego kontaktu z rodzinami. Nie było wiadomo gdzie jesteśmy.

Adam Siatka: Miałem pierwsze odwiedzin całkiem przypadkowo. Rodzina do mnie przyjechała, bo nie były jeszcze rotatki zorganizowane. Obóz się dopiero organizował. Podjechali pod same domki dużym fiatem. Moja żona pochodzi z Mrągową na Mazurach i stamtąd jej siostry z mężami, wsiedli w auto i przyjechali do mnie. To widzenie się odbyło w asyście oficera z kontrwywiadu. Od razu im oznajmiono, żeby więcej się nie wybierali, bo i tak nie zostaną wypuszczeni. Nie było praktycznie żadnych odwiedzin do momentu, kiedy przyjechał ks. Władysław Palmowski.

Kazimierz Łapczyński: To było po około trzech tygodniach naszego tam uwięzienia i nie wiem skąd się udało księdzu Palmowskiemu skombinować autobus PKS-u. Przyjechały do nas rodziny. Posterunki, które były ustawione na drodze. Szlaban. Wojsko pod bronią. Podnieśli ten szlaban, bo myśleli, że to jedzie kursowy autobus i wpuścili. Oni wjechali na teren obozu. Z autobusu wysypały się żony, wysypały się małe dzieci. Zaplanowała panika. Do mnie jeden z oficerów mówi, że tak nie można. Ja mówię mu – panie, wie pan co mówią w Krakowie? Że mamy gorzej niż w Oświęcimiu, niech zobaczą jak to wygląda. Nie zaplanował nad sytuacją. Trudno było strzelać do dzieci. Na koniec po odwiedzinach ks. Palmowski udzielił błogosławieństwa. Jeden z oficerów się przeżegnał. Na drugi dzień już go nie było.

Leszek Jaranowski: Ksiądz Palmowski był dwa razy z taką samą „wycieczką”, ale zdarzały się też inne sytuacje. Żołnierze, którzy nas pilnowali i pierwotnie byli uprzedzeni, że jesteśmy nierobami, cinkciarzami – siłą rzeczy też młodzi ludzie – w rozmowach bezpośrednich przekonywali się, że jesteśmy normalnie pracujący. Jak umieli, tak pomagali. Grypsy wnosili.

Kazimierz Łapczyński: Był tam jeden z lekarzy. W Wigilię składaliśmy wszystkim życzenia. Między innymi tym, co nas pilnowali. Pamiętam, powiedział, że miał być lekarzem wojskowym, a teraz jest klawiszem. Żał mi było tego chłopaka – poszedł do kąta i płakał jak małe dziecko. Nie wytrzymał psychicznie. Odszedł. Byli między nami tacy, którzy donosili, tacy szpicle. U nas była wyrwana podłoga i w piasku przechowywaliśmy materiały do druku. Chowaliśmy tam też radio. Kiedyś zaspaliśmy i nie chcieliśmy odrywać tej podłogi, żeby wszyscy nie widzieli, gdzie jest ta nasza



INTERNOWANIE DO WOJSKA

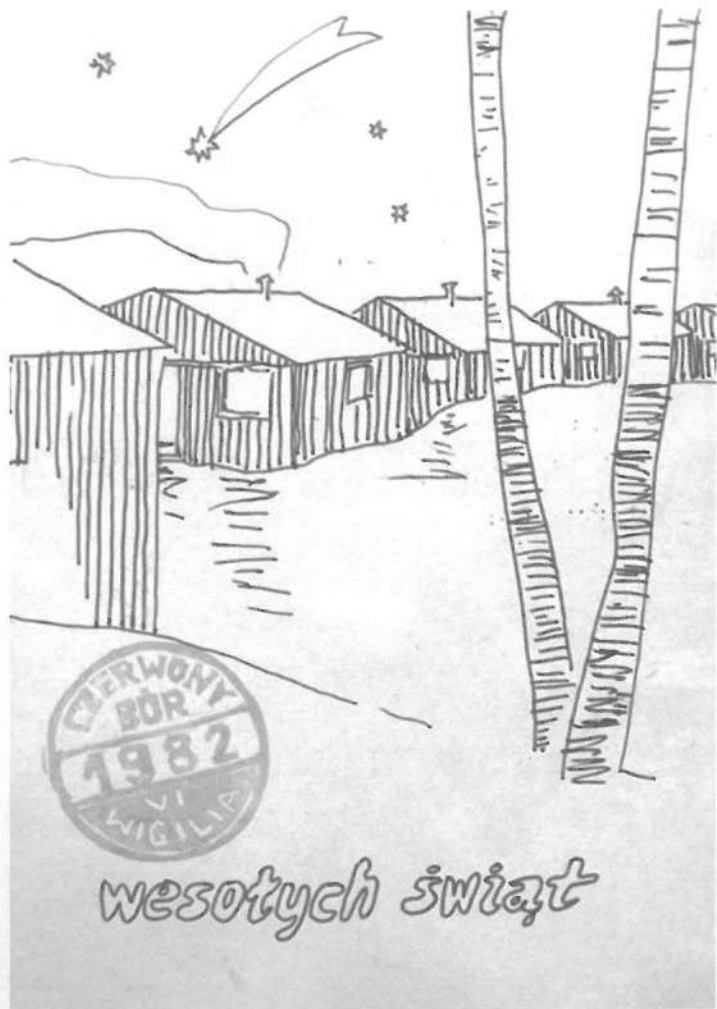
Czerwony Bór. Już na poligonie zmieniono kategorie w księżeczkach wojskowych wpisując wsteczne daty. W ten sposób zdolnymi do służby wojskowej, i to w jednostce saperńskiej, stali się mężczyźni niepełnosprawni m.in. z poważnymi wadami wzroku, bez dwóch palców u ręki itp.

Proces o "odmowę przyjęcia posłtka". Cztery członkowie "S" przebywający na poligonie w Czerwonym Borze staneli 10.XII przed Sądem Wojskowym w Bia-

skrytka. Więc schowaliśmy radio pod piecyk zakopując w piasku. Oni przyszli, ustawili nas w dwuszeregu. Wykrywaczem do min przeglądali cały obóz. Znaleźli naszą „drukarnię”. Niesiono ją jak zdobycz wojenną. Radia nie znaleźli, zostało do końca.

Leszek Jaranowski: Ważnym dniem był dzień 10 listopada. Postanowiliśmy, że skoro jest strajk ogólnopolski – to my zrobimy protest głodowy. Okazało się, że jest to wielkie przestępstwo. Nie wolno czegoś takiego robić. Żołnierz nie ma prawa odmówić jedzenia, bo osłabia obronność kraju?! Wyglądało to tak. Podchodziliśmy do

okienka. Pobieraliśmy jedzenie. Siadaliśmy przy stoliku. Łyżką się pomerdało w tej całej zupie, w tej bryli. Po czym się wstawiało i odnosiło pełny talerz do okienka. Manifestacja się z tego zrobiła – czterysta parę osób. WSW przyjechało, wyciągali nas. Ustawili nas w szeregu – awantura. Straszili nas aresztem, że odmowa rozkazu, bo jedzenie w wojsku traktowane jest jak rozkaz. Czterech chłopaków wybrali – chłopaki przyznali, „ja nie jadłem” – i mieli problem z głowy. Oni wiedzieli, że myśmy wszyscy nie jedliśmy, ale ukarać się wszystkich nie da. Zabrali ich do aresztu. Sprawa wojskowa. Proces sądowy. W okresie



stanu wojennego zastrzone to wszystko jest. Przynajmniej teoretycznie, wchodzi w rachubę kara śmierci. Obrona w zasadzie też była absurdalna. Koledzy wyszli na podstawie tego, że jeden miał wrzody na żołądku, że jedzenie nie było przystosowane. Jednym z głównych argumentów było to, że ludzie przed pobraniem posłtka nie mieli możliwości umycia rąk. Śmieszne, jak się opowiada po czasie.

Leszek Jaranowski: Wypuszczono nas generalnie wszystkich naraz, poza paroma ludźmi, którzy próbowali podczas pobytu w obozie – jak to się mówi po wojskowemu – samowolnie się oddać poza teren i otrzymywali kary aresztu. Musieli „dosłużyć”.

Tego Czerwonego Bora już nie ma. Zlikwidowali go. Nie ma śladu po tym. W „nowych czasach” byli chłopcy w Wałęsę, więc przy okazji starali się coś z tym fantem zrobić. Żeby świat się dowiedział, że były wojskowe obozy specjalne. Wałęsa oczywiście obiecał. Świat się o tym nie dowiedział. Nic się w tym kierunku nie działo. Wojsko już nie ma z tym nic wspólnego. Poligonu tam nie ma. Tych domków też nie ma.

Ewa Szkuřat: Czy w zasobach IPN-u są jakieś ślady działalności tych specjalnych obozów wojskowych?

Jarosław Szarek: Z tego co się orientuję w tej chwili raczej tych śladów jest bardzo niewiele. Ponieważ dokumentacja dotycząca powoływania działaczy „Solidarności” na ćwiczenia wojskowe, była w gestii wojska. Ta dokumentacja znajduje się w poszczególnych okręgach wojskowych. Wiemy już dzisiaj, że tę formę represji zaczęto stosować jesienią 1982 r., gdy było wiadomo, że obozy internowania zostaną zlikwidowane. Stosowano tę formę represji do lutego 1983 r. Działaczy „Solidarności” z Małopolski kierowano do Czerwonego Bora, ale był obóz również w Chełmnie, przez który przewinęło się około 300 osób. Wiemy, że taką formą powołania działaczy „Solidarności” na ćwiczenia wojskowe objęto około 1500 działaczy.

Leszek Jaranowski: Ja myślę, że to jest bardzo niewygodny temat – zarówno dla dzisiaj rządzących jak i wtedy. W końcu to wojsko. Wojsko przejęło rolę obozów internowania. Doszła do nas informacja – jeszcze tam w obozie – że jesteśmy Wojskowym Obozem Specjalnym nr 6. Odpowiedź z MON-u na nasze zapytanie o dokumenty dotyczące obozów wojskowych jest wymijająca: „wszystkie dokumenty zostały odtajnione i przekazane do archiwów IPN”. Na powtórne nasze zapytanie o ujawnienie naszych dokumentów odpowiedź z MON-u brzmiała podobnie: „wszystkie dokumenty zostały odtajnione i przekazane do archiwów IPN poza tymi objętymi klauzulą 30 i 50 tajemności”. Trzydzieści lat mija za rok – ciekawe, co odtajniją? – bo tych najciekawszych objętych klauzulą 50-letnią to już nigdy nie obejrzymy.

Adam Siatka: Na pewno są w strukturach wojskowych jeszcze ludzie, którzy są za to odpowiedzialni. Za to, że nam starzyli tam takie trzymiesięczne piekielko.

Oprac. Leszek Jaranowski, ilustracje ze zbiorów autora

Z pokolenia Kolumbów

Mariusz Zieliński: Urodziłem się w Warszawie w 1955 r. i zawsze tu mieszkałem. Wzrastałem w środowisku inteligentnym o silnych tradycjach patriotycznych, a nawet szlacheckich. Właściwie poza pokoleniem mojego dziadka, który był żołnierzem AK, ciężko rannym w Powstaniu Warszawskim, i ojca od XVIII w. nie było w mojej rodzinie kogoś, kto nie zaliczyłby Syberii. Oczywiście, nie za przestępstwa popolite. Dlatego było dla mnie normalne, że skoro żyjemy w kraju niesuwerennym, trzeba kontynuować tradycje rodzinne.

„Żarek”: Czy można powiedzieć, że to korzenie twojej rodziny i tradycja zaangażowania w sprawy niepodległej Polski miały najbardziej znaczący wpływ na klimat, w jakim wzrastałeś w domu?

M.Z.: Oczywiście. Zaczynałem od ręcznego rysowania ulotek, jeszcze w szkole. W młodości należałem do grupy zbrojnej, podziemnej, która dysponowała nawet bronią i amunicją, co jest odnotowane w notatkach historycznych. Funkcjonowanie tej grupy zakończyło się donosem i procesem w 1978 r. Grupa posługiwała się skrótem WP, tłumaczonym jako Wojsko Polskie lub inaczej Wolni Polacy. Z tego okresu pozostało mi do dziś jeszcze trochę pamiętek i druków ulotnych.

– Czy przed 1980 rokiem trafiały do ciebie jakieś ulotki czy niezależne czasopiśma?

M.Z.: Na Uniwersytecie trafiały się wydawnictwa KOR-u. Wiadomo było, że istnieje Towarzystwo Kursów Naukowych, KPN, ROPCiO i drugi obieg, ale w takich spotkaniach nie brałem udziału. Podobne spotkania w grupach przyjaciół miały jednak miejsce i uczestniczyłem w nich. Na jednym z nich poznałem Jacka Kaczmarskiego. Pamiętam go także z jedyne go chyba koncertu na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Ale nie nazwałbym tego, co się działo, zorganizowaną działalnością. Były to raczej kluby dyskusyjne, gdzie ludzie zbierali się towarzysko. Wymieniało się informacjami i poglądami, śpiewało piosenki, które na pewno były wówczas niepoprawne politycznie.

– Powstanie Solidarności, czy pojawienie się niezależnej prasy nie było wiec dla Ciebie czymś całkiem nowym.

M.Z.: Nie było to nowością, ale euforia, która temu towarzyszyła, fakt że nie mówiło się już po cichu, to wszystko udzielało się każdemu, mnie także.

– Sierpień 1980 przyniósł strajki na Wybrzeżu, Porozumienia Sierpniowe i powstanie Solidarności. Miałeś wtedy 23 lata.

M.Z.: I kończyłem studia na Wydziale Psychologii i Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego. Na przeło-

mie 1980 i 1981 r. podjąłem pracę w charakterze redaktora w Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie. Byłem członkiem zarządu Solidarności w wydziale archiwum teje wytwórni.

– W jakich okolicznościach zastało cię wprowadzenie stanu wojennego?

M.Z.: 13 grudnia rano spakowałem w dużą torbę wiele różnych materiałów, nie do końca legalnych lub wręcz nielegalnych, i wyniosłem je z domu. Każdy miał przed oczami najgorszy z możliwych scenariuszy. Jako zawzięty kolekcjoner miałem w domu rzeczy, za których posiadanie nie wyszedłbym z więzienia. Miałem po prostu broń. I moje reakcje były przez to bardzo wyważone.

– Jak nawiązywałeś pierwsze kontakty z ludźmi z podziemia?

M.Z.: Pierwszego dnia po wprowadzeniu stanu wojennego poszedłem do pracy, gdzie miało miejsce zebranie komisji zakładowej. Pamiętam, że byli tam wszyscy przewodniczący wydziałów. Pierwsze tajne spotkanie. Mieliśmy zdecydować, czy podjąć strajk czy nie. Ze względu na rozległy teren wytwórni i liczne budynki uznaliśmy, że nie ma sensu podejmować strajku, bo spacyfikują nas jednym ruchem. Ograniczyliśmy się do protestu, zakładając biało-czerwone opaski. Ale na tym i na następnych zebraniach powstał pomysł drukowania gazety. Nazwaliśmy ją „Lawenda”, czyli w żargonie filmowców przejściowa forma taśmy między negatywem a pozytywem. W marcu 82 nie otrzymałem w WFD weryfikacji redaktorskiej, zaproponowano mi przeniesienie na stanowisko archiwisty. Uniósłem się

honorowo i odszedłem z pracy. Moja żona pracowała w tym czasie w ośrodku opieki społecznej, a moje wykształcenie pokrywało się z ich zapotrzebowaniem na pracowników. Podjąłem więc pracę w ośrodku na Grochowie, gdzie wtedy mieszkałem przy ul. Grenadierów. I tam też nawiązałem pierwsze kontakty. Co prawda na początku tylko z żonami kilku osób, które siedziały w więzieniu za postawienie krzyża w Dolinie Katyńskiej, ale wkrótce wielu z nich wyszło na wolność i dołączyłem do nich. Od razu zostałem zastępcą szefa tej grup – „Przemka” czyli Piotra Rzewuskiego. Był 1983 r. Nieco wcześniej kontakty z Grupami Oporu nawiązał mój brat Mieszko.

– Kontakty z Tadeuszem Kotarskim czy „Teosiem”, czyli Teodorem Klinciewiczem, jedną z najważniejszych postaci Grup Oporu. Czy spotykaliście się bezpośrednio?

M.Z.: Te kontakty na początku były bardzo luźne. Nie wiedzieliśmy też, że dotyczyły one jednej struktury, z którą miałem już kontakt, pracując w ośrodku. Dopiero w 1983 r., kiedy przystąpiłem do grupy „Przemka” i którą potem kierowałem, dowiedziałem się, że są to Grupy Oporu. W tym czasie nazywano je także Grupami Specjalnymi. Moją grupę sam nazwałem potem „Grupa Grochowska”.

– Czy pamiętasz pierwsze akcje tej grupy?

M.Z.: Mojej pierwszej akcji nie zapomnę do końca życia, miałem potworne stracha. Przedtem konspirowałem w różnych formach, ale wejść w tłum w samych godzinach szczytu i z ręki wywalić do góry setki ulotek...

Oczywiście, uczono mnie jak układać ulotki, jak je zrolować, żeby się dobrze rozrzuciły, a nie spadały jak cegła. Akcja miała miejsce na Chmielnej. Przez cały czas byłem przekonany, że wszyscy na mnie patrzą.

– Strach był częścią każdej akcji. W jaki sposób ważyłeś ryzyko tej działalności?

M.Z.: Szybko zrozumiałem, że działa tu mechanizm psychologiczny: wszyscy patrzą na ulotki, a nie na tego, który je rzuca. Pamiętam też, jakiego miałem stracha, kiedy stawiałem gadałę.

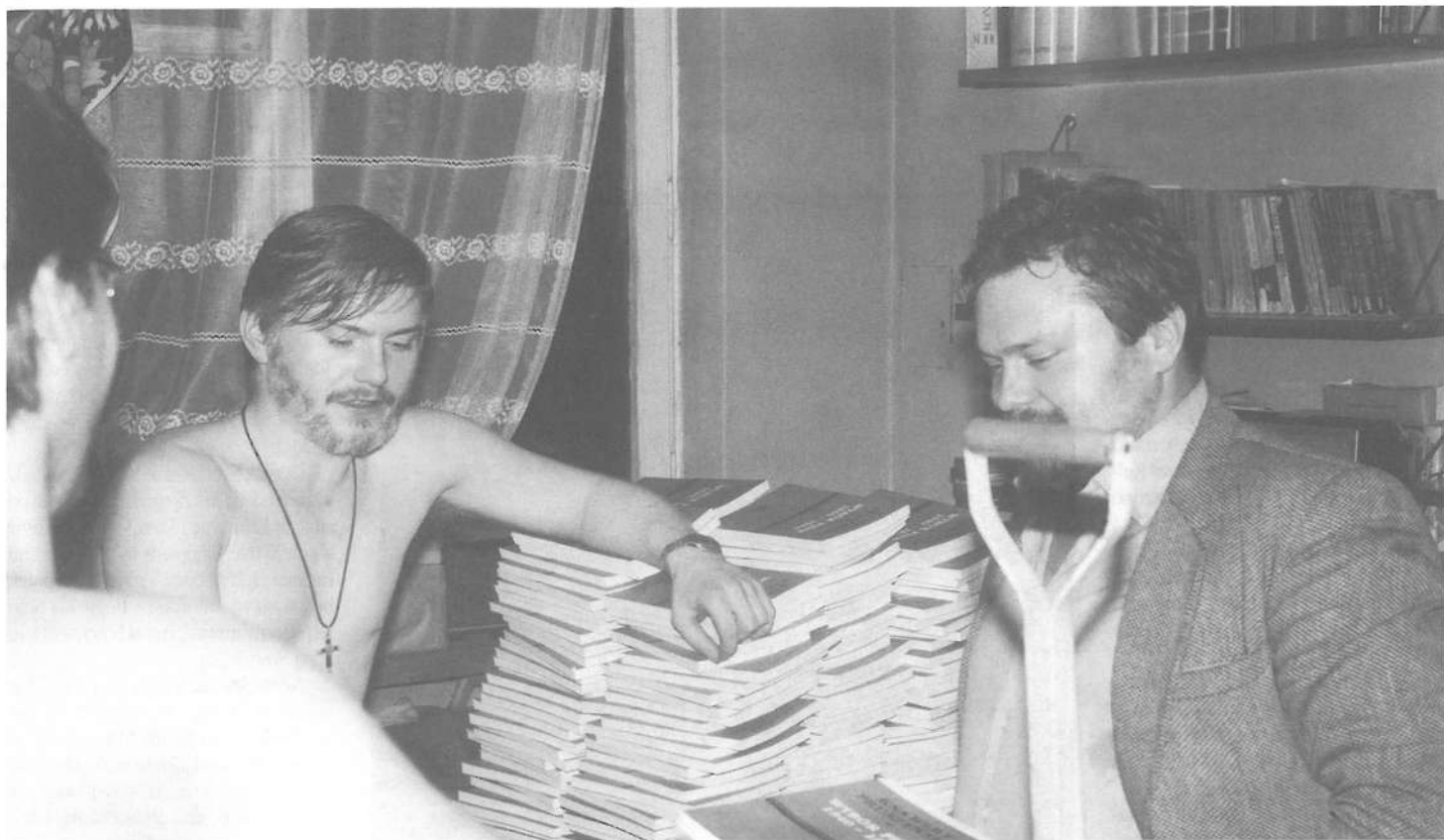
– Spróbujmy wybrać jedną z akcji, która szczególnie utkwiła ci w pamięci?

M.Z.: Gadał było ze trzy, pierwsza pod Hutą Warszawa, najmniej ważna, bo nie zagadała. Natomiast dwie pozostałe gadały zapamiętałem bardzo dobrze. Byłem zafascynowany, że to takie świetne urządzenie do nadawania, a wszystko, co trzeba zrobić, to tylko we właściwym miejscu postawić urządzenie. Wtedy szefem ustawiania był „Przemek”, P. Rzewuski. Gadała miała oczywiście opóźniacz, ale bardzo marny, w późniejszym czasie nasi elektrony opracowali opóźniacze, które dawały z pięć minut na odejście. Było to w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, 13 grudnia 1983 r. Gabarytowo wielka paczka, ciężka jak jasna cholera, i trzeba ją było postawić gdzieś w centrum. Miejsce ustawienia było ustalone wcześniej, ale ze względu na rocznicę i dużą obecność milicji, nie było wiadomo, gdzie najlepiej to zrobić. Pamiętam, że podjechaliśmy starą „Warszawianką” Wiesława Piątkowskiego, który był taksówkarzem. Taksówki były bardziej bezpieczne, bo w wypadku przewożenia czegoś trefnego prywatnym samochodem groziła konfiskata auta. Podjechaliśmy od ulicy Rutkowskiego, gdzie wtedy mieściło się kino Atlantyk. Na miejscu było już kilka osób, w tym Wiesiek Piątkowski, „Przemek”, Janusz Pachniak i Tomek Karpiński, który był jednym z najmłodszych więźniów politycznych. (Po ustawieniu krzyża w Dolinie Katyńskiej przesiedział na Rakowieckiej swoje 18. urodziny.) Wiesiek czuwał w samochodzie z zapalonym silnikiem, a my od tyłu weszliśmy pod Domy Centrum przy Warsie. Było tam przejście, którym wychodziło się wprost na dwa stojące na ulicy saturatory, obok przystanek autobusowy. Było to jedyne miejsce, które nadawało się na ustawienie gadały. Było po zmroku. Gadała była tak ciężka, że z trudem we dwóch dociągnęliśmy ją na miejsce. Saturator miał ze dwa metry wysokości, a my chcieliśmy ją wrzucić na ten właśnie saturator, skąd byłaby dobrze słyszalna.

Na posterunku stały nasze żony, żeby potem zrelacjonować nam jak to



Jerzy Szymański (G.O. Mieszka Zielińskiego)



Jerzy Szymański (G.O Mieszka Zielińskiego)

wyszło. Gadała zagadała, ale nie poleciała do końca, bo znaleźli się mundurowi, którzy ją zwalili, kopali, aż w końcu zamilkła. Poszło ze cztery, pięć minut audycji, a cała audycja miała chyba kilkanaście minut. Kilka osób było na obstawie, robili sztuczny tłok, żebyśmy mogli po ustawieniu odskoczyć do samochodu. W akcji brało udział około 8 osób plus na obstawie dziewczyny. To była pierwsza gadała, która mówiła. Ale była także i druga gadała, którą dobrze pamiętam, bo pierwszy raz w życiu zostałem aktorem. Mówię o akcji na rogu Nowego Świata i Rutkowskiego (dziś ul. Chmielna). Na poziomie pierwszego pietra był tam sklep Ars Christiana. Doskonałe miejsce na postawienie gadały, tym bardziej, że można było udać ekipę remontującą dach. „Ekipę remontową” przywiózł na miejsce Kazik Hałat. Kazik, to był góral, z prawdziwym góralskim charakterem, twardy człowiek. Miał taksówkę bagażową i osobową, więc nadawał się doskonale do wszelkiego transportu. Przyjechaliśmy na miejsce jego Żukiem. Tomek i Janusz byli w roboczych drelach, jeden niósł skrzynkę z jakimiś narzędziami, drugi drabinę, dwóch innych gadała, która była już nowoczesnego typu, z pastuchem elektrycznym, czyli „kopiaca”. A ja, w jasnej koszulce, marynarce, z teczką z jakimiś papierami, stojąc na dole, miałem nadzorować prace. Gadała i narzędzia wniesiono na górę, a chłopcy udawali jak mogli, że tam pracują. Ja natomiast wydawałem polecenia. Było tuż przez czwartą po południu, kiedy chłopcy w końcu włączyli gadała.

Gadała została włączona, trzeba odskakiwać. A tu nagle jakaś starsza pani otwiera okno obok i pyta: „A pa-

nowie, co tutaj robicie? – Ano, reperujemy dach, bo przecieka. – No dobrze, ale u mnie też zacieka.” I tu zaczyna poważną rozmowę. Po chwili Tomek mówi do niej całkiem przytomnie: „Wie pani, my już po fajrancie, może jutro jak przyjdziemy kończyć, to i u pani naprawimy?”. Chwilę potem wszyscy zeszli na dół. Czekamy. Zaczyna się odliczanie minut. Nagle włącza się nasza gadała – dyskretnie uśmiechy i spokojnie odchodzimy w stronę pawilonów, gdzie stoi kilku naszych chłopaków na obstawie. Po wszystkim dziewczyny relacjonowały nam, jak to wyglądało. Efekt był imponujący. Dziki tłum stał i słuchał. Tajniacy nie bardzo mogli poradzić sobie z gadałą i musieli sprowadzić jakąś specjalną grupę, żeby ją znieść z dachu.

– Oprócz ustawiania gadały, były też akcje rozrzucania ulotek za pomocą specjalnych wyrzutników. Czy któraś szczególnie utkwiła ci w pamięci?

M.Z.: Było ich bardzo wiele. Wszystkie wyrzutniki pirotechniczne, które były w użyciu, robiła nasza grupa, Krzysiek Michalski z Grześkiem Podbielskim. (Krzysiek, nasz kuzyn, zdolny pirotechnik, który potrafił robić znakomite petardy, pracowali w kotłowni piwnicy przy ul. Międzynarodowej.) Któregoś razu, wyrzutnik, który składałem, eksplodował mi w twarz. Znalazłem się w szpitalu, ale to osobna historia. Wszystkich akcji wyrzutnikowych nie pamiętam. Pamiętam dwie. Pierwsza, to obstawienie wyrzutnikami całej warszawskiej Starówki. Wszystkie wyrzutniki były wyposażone w specjalny lont do odpalania. Wiele z nich postawiliśmy przy Barbakanie. Byliśmy tam z całymi rodzinami, niby na spacerze. Jak wybu-

chło, ludzie zatrzymywali się, zbierali, każdy łapał ile tylko się dało. Druga, to była akcja wyjazdowa, we Wrocławiu. Pojechaliśmy tam w ośmiu na zlecenie Teosia Klincewicza. Pamiętam, że brał w niej udział Tomek Karpieński, Kazik Hałat, Piotr Rzewuski i „Łysy”, czyli Wiesiek Piątkowski.

Na każdy wyjazd przygotowywaliśmy około 10 wyrzutników. Trafili do centrum Wrocławia, w okolice ulicy Świdnickiej i Rynku. Nie wypalił tylko jeden wyrzutnik przy przejściu podziemnym pod Świdnicką. Wszystkie inne zadziałały. Wyrzutnik ustawiony, wsiałam w taksówkę, jedziemy z Tomkiem i Januszem, a tu dosłownie obok nas jak nie gruchnie. Aż mi się chciało taksówkarzowi krzyknąć, że to moja robota. Następnego dnia pojawiła się w telewizji i prasie informacja, że terroryści rozrzucili we Wrocławiu ulotki. Ktoś natchnionym głosem mówił o chemicznej analizie ulotek, papieru, konkludując, że papier był ofsetowy, na pewno zachodni, czyli w grę wchodzi agentura zachodnia. – Czy byłeś kiedykolwiek zatrzymany czy aresztowany?

M.Z.: W marcu 82 miałem rewizję w mieszkaniu na Grenadierów. Zostałem aresztowany i przewieziony na komendę przy ul. Malczewskiego. Razem ze mną moja żona i Mieszko. W czasie zatrzymania zabrano mnie do jakiejś tam komórki SB i wzięto w obroty. „Zobaczysz, jak przyjdzie nasz szef, to on z tobą nie będzie tak miło rozmawiał” – ostrzegano. Nagle, otwierają się drzwi, a do pokoju wchodzi ich szef i mówi: „Cześć Mariusz!”. Zdębiałem. „A cześć, Andrzej” – mówię. Andrzejem okazał się Andrzej Kuchnik, o rok starszy kolega ze studiów. Był aktywnym działa-

czem SZSP, który został oficerem SB. I rozmowa nagle zrobiła się zupełnie inna, bo jemu było chyba trochę głupio. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć: „Wiesz, jeśli rzeczywiście coś tam masz, to się przyznaj, a ja mogę ci zagwarantować, że zrobię wszystko, żeby nic ci się nie stało”. Takie były to czasy.

Fragmenty rozmowy Jarosława Malika („Żarek”) – Grupy Oporu, grupa Waldeczków, przeprowadzonej 20 kwietnia 2008. Całość dostępna na stronie: www.grupyoporu.pl

Zieliński Mariusz Zbigniew

Ur. 1955 r. w Warszawie, zm. 2008 r. Absolwent Wydziału Psychologii i Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, negatywnie zweryfikowany przez komisję weryfikacyjną.

W l. 1973-1978 członek konspiracyjnej organizacji bojowej „Wolna Polska”. Od 1983 r. działacz Grup Oporu „Solidarni”, w l. 1983-1985 szef tzw. grupy grochowskiej, koordynujący akcje ulotkowe, nadawanie audycji przez tzw. gadały i kolportaż oraz działalność sekcji pirotechnicznej i elektronicznej. W maju 1985 uległ ciężkiemu wypadkowi podczas montowania pirotechnicznego wyrzutnika ulotek, w wyniku czego częściowo utracił wzrok. Po przebyciu operacji plastycznej i pobyciu w szpitalu ukrywał się do marca 1986. Od 1986 do 1989 związany z Oficyną Wydawniczą „Rytm”, gdzie m.in. pełnił funkcję szefa produkcji i szefa kolportażu. Autor licznych publikacji z zakresu historii, historii sztuki i historii wojskowości, szczególnie okresu I Rzeczypospolitej, varsavianista.

Kościół i artyści

Rozmowa w pracowni Adeli Szwejki dn. 8 stycznia 2011 na temat wystaw niezależnych organizowanych w kościołach w czasie stanu wojennego. Rozmawiają malarki: Krystyna Brzechwa, Adela Szwejka, Dorota Brodowska.

Adela Szwejka: Zaczęło się to w naszym kościele Nawiedzenia NMP na Przyryнку, w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych. Wcześniej, jeszcze u św. Anny, tylko przechodziliśmy na mszę. U św. Anny miało być spotkanie w związku z Kongresem Kultury, ale już się nie odbyło, bo ogłoszono stan wojenny.

Krystyna Brzechwa: Działali tam, u św. Anny, Jurek Brukwicki, Andrzej Możejko (niestety teraz niewidomy). Brukwicki prowadził potem ogólnopolską działalność.

Adela Szwejka: Już kiedy Duszpasterstwo Środowisk Twórczych było przeniesione na Przyrynek, Ksiądz Niewęglowski ogłosił 8. Tydzień Kultury Chrześcijańskiej. Było spotkanie organizacyjne.

Krystyna Brzechwa: Byliśmy tam razem, pamiętam, że był Andrzej Biełkowski z Elą Sikorską, Marek Sapetto, Antoni Zieliński.

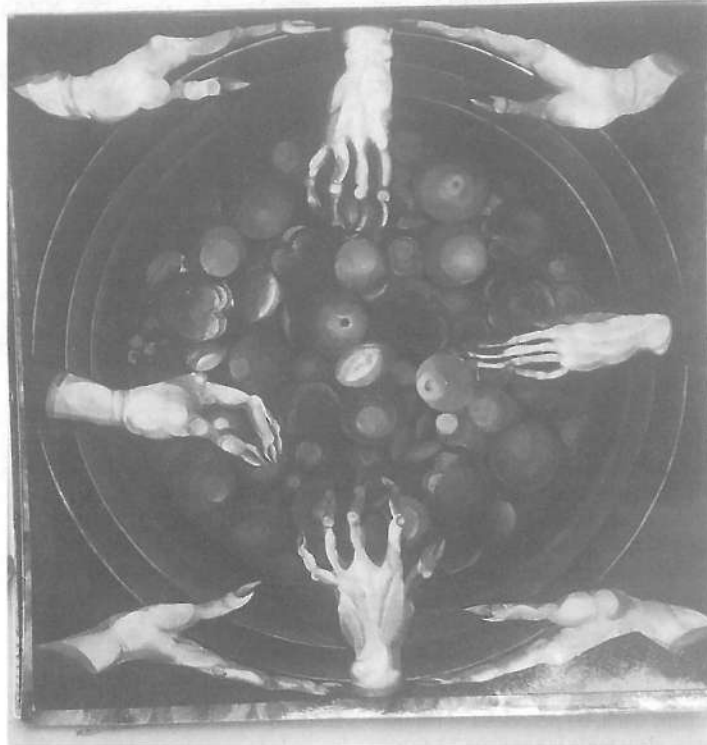
Adela Szwejka: Zorganizowałyśmy wystawę, w listopadzie 1982 [kościół NMP]. Było to na zasadzie – ten się włącza, kto chce.

Krystyna Brzechwa: Zawsze było – kto chce. Nie było nacisków. Na Przyryнку zaczęła się od razu działalność charytatywna, którą zapoczątkowali ksiądz i aktorzy przez swoje kontakty. Ksiądz zgodził się przechowywać dary w piwnicy. Doszły jeszcze Maryla Tyszkiewicz, Krystyna Pniakowska, Katarzyna Latałło, Halina Oberländer. I Majka Kwiatowska, ona działała wszędzie od początku.

Dorota Brodowska: W piwnicy było bardzo zimno, dary rozdzielali też Janek Znosko, Tomek Dominik.

Krystyna Brzechwa: Z Jankiem Znoską wymyśliłam tytuł drugiej wystawy „Przez widzialne do niewidzialnego” [kościół NMP, 1983].

Adela Szwejka: A potem była wystawa o papieżu. Zawiadomienia – ulotki ja pisałam jednym palcem. W DŚT już wcześniej były Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, głównie była poezja, dużo spotkań, przedstawień, czytały poezję Maja Komorowska, Anna Nehrebecka, ale już mówiło się, że trzeba gdzieś organizować wystawy. Ksiądz Niewęglowski wysłuchał, o co chodzi i wyraził zgodę. Myślało się jednak trochę pod kątem, że wystawa będzie w kościele. Bywały różne sytuacje. Przy drugiej wystawie zaproszono do udziału Teresę Pągowską, którą znałam od lat. Dzwoniłam do niej. Pytała mnie „jakie obrazy”. „Takie do kościoła, przecież ty malujesz takie, które się nadają”. Nie przypuszczałam, że przyniesie coś, w czym Jacek Sempoliński coś wypatrył, słusznie, że wypatrył. Jakies kolano z podwiązką. Do Pągowskiej zadzwonił Tomasz Ciecierski, który był jej asystentem, że tego obrazu nie możemy



wystawić, prosimy o inny. Ja się nawet wstydziłam dzwonić, bo przecież już mnie pytała. Na drugi dzień Henryk Tomaszewski przywiózł jej obraz „Zwiastowanie”.

Krystyna Brzechwa: Ja pamiętam, że Staś Młodożeniec przyniósł obraz, na którym coś było.

Adela Szwejka: Okno, pejzaż i półakt. I on to sobie nazwał „Oczekiwanie”. Ksiądz obejrzał i powiedział, że obraz może wisieć, ale bez tytułu. Tytuł został zmieniony, a obraz wisiał ale Staś przyjeżdżał i rano zmieniał tytuł z powrotem. Ksiądz o tym wiedział i jak Staś odjechał, znów wracał tytuł odpowiedni, który mógł być. Oprócz tego Stasio przyjeżdżał codziennie. Robił plakat, który wisiał potem na drzwiach. Ten plakat oddałam Aleksandrowi Wojciechowskiemu do archiwum. Staś dopisywał listę obecności na plakacie, obrazek i podpis. Bardzo ładnie to robił. Wystawy miały tytuły „Obecność”, „Świadek obecności”. Potem, niedługo, była wystawa młodych.

Dorota Brodowska: Krystyna Brzechwa była we władzach ZPAP i wszystkich ludzi po dyplomie, którzy mieli jakiegokolwiek wystawy na studiach, „urzędywiniła”. Jeszcze przed rozwiązaniem Związku. Zależało jej też na tym, żebyśmy my, młodzi, nie byli w Kole Młodych, tylko byli członkami rzeczywistymi i mieli prawo głosu.

Adela Szwejka: Przed stanem wojennym był zjazd ZPAP w Olsztynie. Chodziło o to żeby „przesiać” Związek.

Krystyna Brzechwa: Przedtem się przyjmowało automatycznie wszystkich po dyplomie. Członek był rzeczywisty i nierzeczywisty. Rzeczywisty był, jak zrobił wystawę. Potem uzgodniono, że nie będą przyjmować do Związku, tylko do Ko-

ła Młodych. A skreślił się tych, którzy się nie pokazują, żeby „oczyszczyć” Związek.

Adela Szwejka: Jeszcze przed stanem wojennym była aukcja na Solidarność w Muzeum Narodowym. Był tłum. Myśmy to organizowały.

Krystyna Brzechwa: Marek Sapetto bardzo się wtedy wykazał, rozlepił ulotki po całej Warszawie. Ja już myślałam, że może to niepotrzebne, że jest tak dobrze, ale jak zobaczyłam na drugi dzień, że te ulotki zrywają, to się zorientowałam, że aż tak dobrze nie jest.

Dorota Brodowska: Jeszcze przed stanem wojennym pojawił się niejaki pan Czapski.

Adela Szwejka: Ale nie z Paryża.

Dorota Brodowska: Z Torunia.

Krystyna Brzechwa: Bardzo podejrzanym.

Dorota Brodowska: Bardzo się starał, żeby podzielić starych i młodych, buntował.

Mówił „ludzie, wy nie słuchajcie tego człowieka”. W stanie wojennym zaraz się załapał do ministerstwa.

Krystyna Brzechwa: Przede wszystkim bardzo chciał zapisać się do Związku, powiedzieliśmy – niech przedstawi prace, okazało się, że o pracach nie ma mowy. To my, że bez prac nie możemy go przyjąć. Był nacisk, że mamy go przyjąć bez prac, a myśmy się uparli i on się chyba poddał.

Dorota Brodowska: Krystyna jak gdyby prowadziła nas za rączkę, dzięki niej poznałam Zbrożnę i Latałło. I znaleźliśmy się na Żytniej. Najpierw była wspólna inicjatywa „Jest miejsce – róbmy!”, a potem były wystawy autorskie – Bogucki i Smolarz, Rostworowski, Paweł Sosnowski z Joanną Sosnowską.

Adela Szwejka: Ksiądz Wojciech Czarnowski na Żytniej – rzeczywiście wspaniały człowiek. Całą parafię Miłosierdzia Bożego organizował jako jedność. Doskonale to robił. A jak się przyszło do niego, od razu szukał, co dać do zjedzenia. Rozumiał sztukę. Nie chciał, żeby to wyglądało tak, że przyszli artyści do parafii i się puszą – jacy to oni wielcy. Chciał, żeby wszystko było zwyczajnie. Jeżeli parafianie rąbią drwa, to my też rąbiemy – wnosimy swoją pracę.

Krystyna Brzechwa: Na początku przyszliśmy, jak staliśmy, każdy przyniósł swój obraz i powiesił, gdzie było miejsce, po czym każdy na zmianę musiał tego pilnować, siedząc w ziemie.

Adela Szwejka: Ksiądz bardzo uważał, żeby nie używać słowa „wystawy”, tylko „Spotkania ze sztuką” [tak się nazywał wielki cykl imprez na Żytniej w maju i czerwcu 1984 roku]. Działali tam Janusz Bogucki, Nina Smolarz, Magda Hniedziewicz z Maciejem Gutowskim, który napisał wstęp do programu. Co do wystaw, na Przyryнку było bardzo dużo zbiorowych wystaw w kościele a potem też indywidualnych w salce parafialnej, równoległe były na Żytniej. Były i na Ursynowie u ks. Wojdata.

Krystyna Brzechwa: Na wystawach był koszyk na zbieranie pieniędzy i „cegielki”.



Pieniądze szły na pomoc doraźną dla tych, którzy mieli kłopoty.

Dorota Brodowska: Piotrek Młodzieńc nie robił „cegiełek” graficzne, ja dawałam na cegiełki swoją ceramikę.

Adela Szwaja: Urządzaliśmy wystawę na Żytniej i wieszaliśmy w piwnicach. Wieża kościoła była bez dachu, w niej powiesili swoje obrazy Jacek Ziemiński i Andrzej Zwierzchowski. Mówiłam im, że jeszcze się oleje zniszczą, a oni, „nie szkodzi, nam nie zależy”. Przyszła też para malarzy, nie pamiętam kto, młodzi, mówią, że przynieśli coś i też chcą powiesić, ale już nie było miejsca w środku. Pytali gdzie to wieszają, „a znajdźcie sobie miejsce”. I powiesili prace na kartonach w podwórku na ścianie, wiatr hulał, oni przychodzili od czasu do czasu i podklejali.

Krystyna Brzechwa: A Rylkego obraz ktoś ukradł. Miał być zakupiony przez Komitet Kultury Niezależnej i zabrany przez Joannę Krzymuską, ale w międzyczasie ukradli. Dwa czy trzy razy mu kradli.

Dorota Brodowska: To było pospolite ruszenie, były więc i bardzo dobre dzieła i bardzo złe. Nie było tematów i haseł.

Krystyna Brzechwa: Myślę, że to jest ta przesada, która panuje w naszym środowisku, że trzeba koniecznie wybierać dzieła, na Żytniej na naszych wystawach nie było wybierania. Kiedy zaczęło się planowe organizowanie wystaw już nie było to takie otwarte, że jest wystawa i każdy przychodzi i przynosi, co chce. Niektóre wystawy wędrowały po kraju, odbyło się też kilka wystaw polskiej sztuki niezależnej „niepokornej” zagranicą. Zainteresowała się tym Hanna Kassyanowicz, która wówczas miała męża Niemca. Zorganizowali sporo wystaw, m.in. w Kolonii, Hamburgu. Niektóre miejsca też były związane z Kościołem, jak np. Katolicka Akademia w Hamburgu, kościół dominikanów w Osnabrück. W Zachęcie też były dziewczyny, które prowadziły działalność, przygotowywały wystawy, Joanna Krzymuska Mansfeld i Barbara Dąbrowska.

Adela Szwaja: One właśnie organizowały wystawę w Przemysłu, jedną z pierwszych niezależnych wystaw. Przychodziły do mnie po obrazy. Z kolei Alicja Żendara – także osoba bardzo porządna i zaangażowana pracowała jako kierownik działu ikonografii w Bibliotece Narodowej, wykupywała rysunki. Kupowano od wielu artystów. U ks. Przekazińskiego w Muzeum Archidiecezjalnym brałam udział w wystawach „Świadectwo wspólnoty” i „Tkanina wobec sacrum”. Doradca ks. Przekazińskiego była Danuta Wróblewska.

Krystyna Brzechwa: Bardzo intensywnie działała grupa ogólnopolska z Andrzejem Mozejką. Udzielała się tam i Majka Kwiatowska.

Adela Szwaja: Młodzi byli zapraszani przez historyków na różne spotkania ogólnopolskie. Majka była też we Wrocławiu, po pracowniach chodzili.

Krystyna Brzechwa: Te spotkania odbywały się różnie – w pracowniach i w kościołach. W Toruniu była wystawa Edwarda Krasińskiego w kościele parafialnym, organizowali Krasiński i Jerzy Puciata. Majka Kwiatowska miała wystawę w Podkowie Leśnej u ks. Kantorskiego.

Adela Szwaja: Z moją podróżą do Pod-

kowy wiąże się anegdotyczne wydarzenie. Jechałam tam WKD na wystawę Majki Kwiatowskiej, miałam zaproszenie. W pewnym momencie wchodzi do pociągu taka krzepka dziewczucha, jakby w stroju zakonnym, szara spódnica, chusta szara, siada naprzeciwko mnie. Nic, ma głowę spuszczoną. Ja akurat szukałam adresu, żeby sprawdzić, dokąd jadę, i kartka z adresem mi upadła. Ta dziewczucha podniosła głowę z uśmiechem i podała mi ją. Pomyślałam – skąd ja znam tę dziewczuchę, bo ma takie typowe oczka księdza Małkowskiego. Kiedy ruszyliśmy do wyjścia, ja widzę, że dziewczucha ma chód męski, krzepki. Wtedy uświadomiłam sobie, że to ksiądz Małkowski! Powiedział, że teraz wysiada, a ja mam wysiąść na następnym przystanku.

Krystyna Brzechwa: Kultura Niezależna robiła czasopismo „Szkice”, (był numer na temat rozwiązania Związku Plastyków itd., recenzje wystaw niezależnych). Rozwoziła je Majka. Któregoś dnia przyjechała do mnie taksówką i okazało się, że całe wydanie „Szkiców” zostało w taksówce a ona tylko z jakimś ciastem weszła do



mnie. Na szczęście na drugi czy trzeci dzień znalazła na dole kartkę z adresem od taksówkarza „paczka została”. Co tu robić, co to za taksówkarz? Pojechaliśmy we trzy: Ksantypa czyli Krystyna Pniakowska, ja i Majka. Na szczęście taksówkarz był przyzwyczajony, zwrócił paczkę bez zbędnych pytań. Z Majką też rozprawdzaliśmy książki.

Dorota Brodowska: A my ze Znoską trzymaliśmy papier. Majka dzwoniła „potrzebuję broszki, trzy małe i pięć dużych”, bo ten papier był A4 i A3.

Krystyna Brzechwa: W swoich rysunkach umieszczała szryfy, te rysunki były niesamowite.

Krystyna Brzechwa: Część naszych koleżanek intensywnie współpracowała w kościele św. Stanisława Kostki u ks. Popiełuszki (działał tam Jurek Kalina). M.in. Hanna Maczubska, Danka Postępska, robiły wystroje, szopki. Po porwaniu ks. Popiełuszki w czasie czuwania, siostra Zofia dała nam wielki blejtram i farby, siedziałam na dole w piwnicy i „machalam” obraz św. Jerzego, do którego Danka domalowała smoka. I w ciągu jednej nocy ten obraz powstał, potem był stale wykorzystywany, wisiał w bocznym ołtarzu. Maria Anto (zm. 2007) zadzwoniła kiedyś, że obraz trzeba zabrać, ale powiedziałam, że go nie zabiorę, bo jest

ogromny i był zamówiony przez kościół. Nie wiem, co się z nim stało.

Adela Szwaja: Ja przekazałam do muzeum swój obraz „Kamienie”. Pomysł wziął się stąd, że jak ludzie przynosili kwiaty i układali krzyż np. na Krakowskim Przedmieściu, w nocy to usuwano, a na drugi dzień znów był. Podobnie z kamieniami, przy kościele św. Stanisława Kostki, ludzie codziennie zbierali się, układali z kamieni stos i modlili się wieczorem, a rano stosu nie było i co wieczór znów przyносили.

Dorota Brodowska: Chociaż po 1986 zaczął się oficjalny obieg, wystawy w kościołach były jeszcze w 1988 r.

Adela Szwaja: Niektórzy zaczęli przychodzić z ciekawości, ale potem już przychodzili stale, znam ludzi, którzy się nawracali.

Krystyna Brzechwa: Ludzie dawali takie prace, jakie robią. Teraz się tak mówi, pisze, że wszystko było na zamówienie, że było na takim złym poziomie, że się próbowali dostosować. Oczywiście, że chcieli uniknąć tego, co całkowicie się nie nadaje, co obraża. Jeżeli ktoś maluje

jaki to był zły poziom, jakie nędzne malarstwo religijne.

Dorota Brodowska: Trzeba to odkłamywać. Niektórzy koledzy nie żyją i już nic nie powiedzą. I to wcale nie trzeciorzędni artyści. Choćby Janusz Petrykowski, Tadeusz Brudziński, Maria Anto, Barbara Jonischer, Jan Dziędziora, Barbara Zbrożyna, Katarzyna Latałło. I Bogucki, Wojciechowski – organizatorzy, też nie żyją, nie mogą bronić tamtych malarzy. Trzeba więc to odkłamywać...

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Brodowska Dorota W latach 80. współorganizatorka i uczestniczka wystaw poza oficjalnym obiegiem. W twórczości często łączy rzeźbę i malarstwo, wykorzystuje nietypowe materiały do swych realizacji przestrzennych, obiektów artystycznych (np. „recykloony i punkolazy”).

Brzechwa Krystyna Współorganizowała niezależne wystawy m.in. w kościele NMP, jak np. „Świadectwo obecności”, oraz „Obecność” w kościele przy ul. Żytniej w ramach „Spotkań ze sztuką”. Współorganizowała towarzyszące wystawom spotkania.

Szwaja Adela Podczas stanu wojennego była współorganizatorką niezależnych wystaw m.in. w kościele św. Anny, w kościele NMP i przy ul. Żytniej w ramach TKCh oraz w Duszpasterstwie na Krakowskim Przedmieściu.

Informacja o wystawach.

Jeszcze przed stanem wojennym, w listopadzie 1981 odbywał się VII Tydzień Kultury Chrześcijańskiej w Warszawie, w jego ramach otwarto wystawy sztuki sakralnej w Kościele św. Anny (ówczesna siedziba Duszpasterstwa Środowisk Twórczych) w kaplicy i w wieży. W 1981 DST przeniosło się na Przyrynek 2. VIII Tydzień Kultury Chrześcijańskiej odbywał się w stanie wojennym 20-30 listopada 1982, wystawa malarstwa współczesnego „Świadectwo obecności” składała się z trzech części, otwartych 21, 27 i 28 listopada w trzech różnych kościołach – Nawiedzenia NMP (siedziba Duszpasterstwa Środowisk Twórczych), dolny kościół św. Aleksandra, dolny kościół św. Krzyża (wystawa młodych).

20 listopada 1983 w ramach IX Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej w kościele Nawiedzenia NMP otwarto wystawę współczesnego malarstwa i grafiki „Męka, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa”, która w lipcu 1983 była prezentowana we Francji w Digne – Les Bains na Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Chrześcijańskiej. Podczas tego Tygodnia w Małej Galerii DST otwarto wystawę „Medytacje”, w wieży św. Anny odbyła się wystawa plastyków krakowskich B. i J. Skapskich „Ukrzyżowania”. W muzeum Archidiecezji Warszawskiej „Grafika i rysunek o tematyce biblijnej”, wystawa fotograficzna u Dominikanów.

W czasie X Tygodnia (18-30 listopada 1984) odbywały się wystawy – w Kościele Nawiedzenia NMP „Chaos – Człowiek – Absolut”, w dolnym kościele św. Krzyża prezentacja kompozycji przestrzennych „Apokalipsa. Światło w ciemności”, której towarzyszyły inne imprezy (projekt i prowadzenie całosci Janusz Bogucki i Nina Smolarz).

Oprac. na podstawie Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej w Warszawie 1975-1984, wyd. Kuria Metropolitalna Warszawska w 1985 r.

Szczepan Rudka

Medalierzy

Istotnym, lecz bardzo rzadko obecnie docenianym i opisywanym, elementem drugiego obiegu była tzw. „galanteria”. Składały się na nią przede wszystkim ulotki, pocztówki, znaczki pocztowe, znaczki plastikowe i metalowe, fotografie, gipsowe i metalowe popiersia miniaturowe, banknoty oraz monety i medale. Te ostatnie stanowiły ułamek całego opozycyjnego „urobku”. Ich bicie wymagało – inaczej niż w przypadku większości pozostałych opozycyjnych bibelotów – dużego nakładu pracy, większej ilości czasu, dostępu do nietypowego, specjalistycznego sprzętu, racjonowanych materiałów (metale kolorowe i szlachetne), rzadko spotykanych kwalifikacji (grawerstwo) oraz bardzo dobrej organizacji pracy, a przede wszystkim konspiracji. Całość zazwyczaj odbywała się z dużych przedsiębiorstwach, gdzie kadra kierownicza – zwłaszcza mistrzowie – bacznie obserwowała podległych im pracowników i pilnowała, by ci nie podejmowali żadnych działań wrogich socjalizmowi.

Trudno dziś po ponad dwudziestu latach od opisywanych wydarzeń ustalić, kiedy wrocławscy opozycjoniści wybili pierwszy medal. Ujrzał on światło dzienne prawdopodobnie w drugiej połowie 1984 r. Znaczący udział w jego powstaniu miało kierownictwo Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych we Wrocławiu, które z okazji 40. rocznicy powstania Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa postanowiło wybić okolicznościowy medal. Zlecenie na jego wykonanie w ilości kilkuset sztuk trafiło do Państwowej Fabryki Wagonów „Pafawag” we Wrocławiu, która w tym czasie była jednym z największych producentów taboru kolejowego w Europie. Zakład ten na własne potrzeby (obchody zakładowych rocznic, prezenty dla gości) wybił wcześniej kilkanaście medali i prawdopodobnie ten fakt zdecydował, że tutaj trafiło zlecenie WUSW. Jego wykonaniem – z polecenia dyrekcji – zajmował się m.in. Henryk Piotrowicz. Po wybitiu wszystkich medali dla MO i SB, razem z innymi członkami „Solidarności” Wydziału TO-01 (narzędziownia), postanowił nie przerywać prac medalierskich zainicjowanych przez WUSW. Następnym medal poświęcono Janowi Pawłowi II oraz „Solidarności”. Pierwsze prace grawerskie – prowadzone oczywiście w ścisłej tajemnicy – wykonał Mieczysław Kondratowicz, a po jego wycofaniu się z przedsięwzięcia, Józef Marcinićzak, który wykończył rozpoczętą sztancę z rewersem, zaprojektował i wykonał stempel awersu oraz wytoczył pierwszą serię kilku sztuk tego medalu. Był on podczas wykonywania tych czynności, które odbywały się w normalnym czasie pracy, „pilnowany” przez wspomnianego już H. Piotrowicza oraz Stefana Łągiewkę. Dzięki stworzonej przez nich osłonie udało się zachować tajemnicę, a wszędo-

bylski i wścibski mistrz nigdy się nie zorientował, że J. Marcinićzak wykonuje „dodatkowe” obowiązki. Tylko raz doszło do „interwencji” Piotrowicza, zdołał on w ostatniej chwili zabrać z rąk „podopiecznego” obrabianą matrycę, którą następnie schował do kieszeni. Mistrz, który niepodziewanie zainteresował się czynnościami wykonywanymi przez Marcinićzaka, nie miał już jednak odwagi sięgnąć do kieszeni jego „stróża”.

Medal pierwszej serii miał jedną wadę wynikającą z niedokładnie, bo w pośpiechu, wykonanej formy. Na całej długości brzegu (rantu) wystawał wąski kawałek metalu. Drugą i prawdopodobnie ostatnią serię, także w liczbie kilku sztuk, wybito już po usunięciu usterki matrycy. Stało się to możliwe tylko dzięki inicjatywie i dużym wkładzie pracy Ryszarda Łatawca.

Matrycę do 1989 r. ukrywano w bańce po mleku, w której przechowywano olej rzepakowy wykorzystywany podczas gwinowania różnych urządzeń. Dodatkowym plusem tego schowka, którym prawie nikt się nie interesował, było to, że olej doskonale konserwował znajdującą się w nim matry-

produkcji skórzanych breloczków z podobizną Jana Pawła II oraz napisem: Solidarność.

Janowi Pawłowi II, a ściślej mówiąc piątej rocznicy rozpoczęcia jego pontyfikatu poświęcona była specjalna plakietka od pracowników „Pafawagu”, którą wykonał Julian Ochman. Wzorował się przy tym na plakiecie wytwarzanej w tym zakładzie, którą kierownictwo przedsiębiorstwa tradycyjnie obdarowywało swoich gości.

Kolejny opozycyjny medal ujrzał światło dzienne w 1985r., kiedy to w jednym z konspiracyjnych czasopism ukazała się następująca wiadomość: „w piątą rocznicę powstania NSZZ „Solidarność” wybito został staraniem RKS Dolny Śląsk okolicznościowy medal. Rozprowadzany jest kanałami związkowymi w cenie 350 zł. za egzemplarz”. Został on wykonany ze stopu cyny i cynku, prawdopodobnie na terenie wrocławskich Zakładów Elektrycznych „Elwro”. Przy projektowaniu medalu wykorzystano awers monety dziesięciozłotowej z lat trzydziestych ubiegłego wieku, na której widniał m.in. orzeł w koronie.



Medalierzy.JPG – Twórcy „Pafawagowskiego” medalu dziś, od lewej: Józef Marcinićzak, Henryk Piotrowicz i Ryszard Łatawec.

ć. Po ponownej rejestracji „Solidarności” 17 kwietnia 1989 r. postanowiono przekazać matrycę członkom Związku przedsiębiorstwa „Dolmel”. Tam postanowiono wybić ten medal w srebrze, a następnie miał on trafić do rąk Jana Pawła II. Czy zrealizowano ten projekt, nikt już nie pamięta. Nie wiadomo też, co się stało z matrycą. Przez lata prawie nikogo nie informowano o istnieniu medalu, wiedzieli o nim osoby, które go wybiły oraz osoby obdarowane. Wśród nich znalazł się m.in. Władysław Frasyniuk – jeden z szefów dolnośląskiej Solidarności oraz Lech Wałęsa, któremu wręczono medal podczas jego wizyty we Wrocławiu 27 lutego 1989 r. Niedawno, przez przypadek, Józef Marcinićzak odnalazł zakopany pod krzewnikiem wzornik rewersu tego medalu, który ukrył tam ponad dwadzieścia lat temu i o nim zapominał. Niedawno odnalazł także materiały i narzędzia, które wykorzystywano do

Treść następnej informacji medalierskiej, zamieszczonej w prasie niezależnej, była następująca: „ukazały się w obiegu 3 rodzaje medali metalowych w cenie 300 zł. Każdy, stanowiący serię. Na awersie głowa Lecha Wałęsy i napis wokół: NIEZALEŻNY SAMORZĄDNY ZWIĄZEK ZAWODOWY „Solidarność” 1983, na rewersie w konturach granic Polski napis: NOBEL ‘83 – SOLIDARNOŚĆ – LECH WAŁĘSA – 1986. Rozprowadza ELWRO. Cały dochód przeznaczony jest na cele wydawnicze”.

Medale wykonano z miedzi, która była źródłem wielu problemów technologicz-

nych, ze względu na swą miękkość. Medale, po wybitiu, przekazano pracownikom „Hutmenu”, którzy w konspiracji posrebrzyli je. Medale te bito dwa razy, za każdym razem w liczbie 500 sztuk. Obecnie z trzech wymienionych rodzajów tego medalu znany jest tylko jeden o średnicy 37,3 milimetrów z nieco innym napisem, niż podano w prasowej informacji. Na awersie umieszczono wokół podobizny przywódcy „Solidarności” napis: Pokojowa Nagroda Nobla – Lech Wałęsa. Napis z drugiej strony informuje o polskich laureatach Nagrody, wybito jest też rok: 1983.

Następne dwa medale powstały także na terenie „Elwro” półtora roku później i poświęcone były postaci księdza Jerzego Popiełuszki. (Ich twórcą nie mógł być autor wałęsowskiego medalu, gdyż już nie żył.) Medale poświęcone kapelanowi „Solidarności” wybito w niewielkiej, próbnej serii. Są one słabszej jakości, nie ukazała się też żadna informacja o ich powstaniu. Cześć z nich – w nieznanych jeszcze okolicznościach – przejęli funkcjonariusze SB.

Trudno dziś spisać dzieje opozycyjnego medalierstwa. Część twórców ma obecnie problemy z podaniem bardzo wielu szczegółów, niestety dotyczy to także nazwisk osób zaangażowanych w te prace. Opozycyjne medale bito w niewielkich ilościach, co dziś bardzo utrudnia dotarcie do wielu z nich. Zazwyczaj – ze względów konspiracyjnych – nie umieszczano na nich sygnatur, które umożliwiłyby ustalenie wydawcy, ani też miejsca oraz daty ich powstania. Z podobnych względów nie prowadzono żadnych notatek, które dziś pozwoliłyby np. ustalić, jakich dokładnie materiałów użyto do ich wykonania, oraz ile sztuk danego medalu się ukazało. Sytuację utrudnia jeszcze to, że w latach 80. medale o podobnej tematyce – religijnej i patriotycznej – produkowały różne zakłady rzemieślnicze, najczęściej związane z oficjalnie działającym przedsiębiorstwem Inco Veritas. One także często nie były sygnowane i dlatego trudno się zorientować, kto je wybił. Czy byli to działacze opozycji, czy też jakiś rzemieślnik. Dlatego też dokładne opisanie niezależnego medalierstwa, które było znaczącym elementem drugiego obiegu wydaje się być obecnie bardzo trudnym przedsięwzięciem.



Temida jest dalej ślepa

Jesienią 1985r. w Zakładzie Karnym w Łęczycy doszło do pobici więźniów politycznych: Władysława Frasińskiego, Andrzeja Filipczyka, Jerzego Kajaka, Grzegorza Sędką, Tadeusza Wypycha, Krzysztofa Gossa, Mirosława Andrzejewskiego, Marka Łucarza i Józefa Śreniowskiego. Ten ostatni, jak widać bezskutecznie, ściga sprawców tych pobici.

Do Sądu Rejonowego w Łodzi za pośrednictwem Prokuratury Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi

Z a z a n i e

na postanowienie o umorzeniu śledztwa z dn. 12 października 2010 r.

(...)

Na podstawie art. 465 B1 i 2 kpk:

1. zaskarżam wskazane wyżej postanowienie;

(...)

U z a s a d n i e

Nie zgadzam się z podstawą kreowania zdarzeń z r.1985 do rangi Aprzekroczenia uprawnień ponieważ sprawa nie ma za przedmiot zakresu przekroczenia (lub nie przekroczenia) uprawnień przez służbę więzienną, ale kilkakrotne pobicie i dręczenie więźniów w więzieniu łęczycykim. Czy takie czyny funkcjonariuszy więziennych miały na celu presję, dręczenie, odwet, pacyfikację czy socjalistyczne wychowanie więźniów i czy dopuszczano się ich wobec więźniów – jak zaznacza Prokuratura – politycznych albo w innym miejscu: niekryminalnych, pozostaje kwestią nieistotną wobec oceny prawno-karnej przedmiotowych zdarzeń. Prokuratura nie badała na czym polegały uprawnienia służby więziennej i nie rozróżniła czy akcje pacyfikacyjne czy represje, jakich się dopuszczono wówczas należały do czyichkolwiek uprawnień czy też były bezprawiem i racjonalizowanie ich przy pomocy pragmatyki służbowej służby więziennej stanowi jedynie maskowanie samowoli lub politycznej rozprawy przy użyciu siły fizycznej z więźniami zdefiniowanymi przez ówczesne władze jako przeciwnicy polityczni skazani na reedukację.

Postanowienie, jakie w tej sprawie zapadnie winno uwzględniać ten kontekst sytuacyjny, historyczny czy prawny. Rozróżnić między zdarzeniami, które można odnieść do regulaminu więziennego od takich, które pozostają poza jurysdykcją tego rodzaju regulaminu, ustalającego prawa i obowiązki osób skazanych (co uchodziło uwagi dotychczasowego postępowania). Więzienie nie jest miejscem publicznym. Mogę przytoczyć stosowne orzeczenie Sądu w tej sprawie. Śpiewanie hymnu w więzieniu nie może być zakazane prawem ni regulaminem, jeśli – jak ustalono dotąd – hymn był powodem stosowania siły wobec osób, które go w powadze śpiewały.

Śledztwo – jak wynika z uzasadnienia Postanowienia z dn.12 października 2010 – nie przebiegało w sposób, który pozwalałby weryfikować lub falsyfikować wypadki, źródła

i sekwencje ówczesnych zdarzeń, natomiast obracało się wokół ocen, jakie ich uczestnicy to znaczy bici i bijący albo ich mocodawcy po latach wiąży z tymi wydarzeniami.

Prokuratura błędnie ustaliła na przykład to, że wywieziony do Łodzi Marek Łucarz został z czyjejś inicjatywy bestialsko pobity przez funkcjonariuszy Wojewódzkiego Aresztu Śledczego i nie złożył na to pobicie skargi. Marek Łucarz złożył [w listopadzie 1985 r.] taką skargę organom Ministerstwa Obrony Narodowej, ponieważ był żołnierzem służby zasadniczej. Skarga ta spowodowała przybycie do Zakładu Karnego w Łęczycy dwóch wyższych oficerów Sztabu Generalnego, GZP WP czy MON i interwencji w obronie represjonowanego w więzieniu czy areszcie śledczym żołnierza. Wykluczone by Naczelnik więzienia nie pamiętał tej interwencji MON i powinna ona mieć źródłowy ślad tak w dokumentacji więziennictwa jak resortu obrony.

Podobnie bezpodstawnym jest stwierdzenie, że ja czy inni skazani i bici w Łęczycy w sierpniu, we wrześniu czy w październiku 1985 r. nie wnosiliśmy pisemnie skarg i nie zgłaszaliśmy obrażeń służbie medycznej w dostępnym nam wówczas sposób. Sam pisałem takie pisma do władz więziennych /WZZK/, prokuratury w Łęczycy czy Kutnie, Prokuratury w Płocku. Kierowałem je też kilkakrotnie do Wydziału Penitencjarnego Sądu Wojewódzkiego /Okręgowego/ w Płocku, który prawo ówczesne [kw] zobowiązywało do sprawowania kuratel nad przebiegiem i warunkami odbywania kary w więzieniu łęczycykim. Raz tylko doczekałem spotkania z prokuratorem z Kutna czy Łęczycy, który zaczął przesłuchanie od pytania o siniec okularowy w okolicach oczodołu bodaj lewego oka. Stąd znam nazwę takiego obrażenia. Sędzia penitencjarny z Płocka dotarł do mojej celi z końcem lipca 1986 r. po pismach

skierowanych do tego sądu latem 1985, ew. w październiku tegoż roku. Informacja o pobiciach zawarta w tych pismach nie straciła na aktualności, natomiast ślady obrażeń wobec opieszałości działania sądowego nadzoru penitencjarnego oczywiście już wówczas nie istniały albo były to obrażenia, których po upływie 11.miesiący nie dałoby się odpowiednio powiązać z akcją bicia więźniów.

(...)

Zwraca uwagę, że śledztwo nie uwzględniło zbierania

* dowodów z zeznań członków rodzin pobitych więźniów, którzy wówczas docierali lub próbowali dotrzeć do więźniów,

* duszpasterzy: ks. Justyniana Rosy oraz ks. Andrzeja Szkarłata, przeora oo. bernardynów w Łęczycy, spełniających kolejno role kapelanów więziennych

* obrońców: mec.mec.Stanisława Maurena, Andrzeja Kerna, Mieczysława Korczaka, Jacka Taylora a także adwokatów wrocławskich i warszawskich, którzy docierali do więzienia,

* wolontariuszy z Prymasowskiego Komitetu Pomocy Uwięzionym w Warszawie oraz Diecezjalnego Ośrodka Pomocy Uwięzionym pracującego przy parafii oo. jezuitów w Łodzi, notatek zachowanych po tym ośrodku charytatywnym

* innych więźniów i funkcyjnych więźniów ZK w Łęczycy z r.1985

* nie okazano pobitym sprawców np. fotografii funkcjonariuszy w r.1985 dla rozpoznania sierż.Zakrzewskiego, skoro Amundur czynił go anonimowymi

* nie zbadano roli agentury celnej np.umieszczenia z J.Śreniowskim, M.Andrzejewskim M.Łucarzem, Wł.Frasińnikiem skazanego z Płocka – Jerzego Pasowicza i jego roli w przygotowaniu interwencji siłowej stanowiącej przedmiot dotychczasowego śledztwa

* nie badano próby skierowania Wł.Frasińskiego i J.Śreniowskiego przez Naczelnika ZK w Łęczycy na badania lekarskie do Łodzi bezpośrednio po interwencji siłowej 2.sierpnia 1985, kiedy obu skazanych zamknięto w celi izolacyjnej na parterze więzienia. Dokumentacja więzienna powinna zawierać adnotacje w tej sprawie.

* nie ustalono w jakich warunkach odbywania kary pozbawienia wolności doszło do używania przez władze więzienne siły; nie zbadano czy sekwencja zdarzeń /pobicie w sierpniu, we wrześniu i w październiku 1985/ jest przypadkowym zbiegiem zdarzeń w czasie czy też nadzór więzienny albo polityczni mocodawcy sprokurowali cały ten ciąg brutalności, skoro we wcześniejszym ani późniejszym czasie nie doszło do bezprawia, a we wskazanym okresie stosowano je seryjnie,

* nie zostało w śledztwie ustalone, jakie czynności i na jakiej podstawie, w jakich okolicznościach, prawo i pragmatyka pozwalała stosować wobec więźniów; które z działań były autorską inicjatywą łęczycykich funkcjonariuszy? Które były niedopuszczalne prawnie w warunkach więziennych PRL?

* nie sprecyzowano co znaczy w tym konkretnym przypadku „regulamin więzienny” i jaki zakres tego regulaminu stosowany winien być wówczas: P1, P2,P3? R1, R2, R3? Czy jeszcze inna kategoryzacja przypisana skazanym przez władze więzienne czy sąd penitencjarny?

* nie zostały w śledztwie dotychczasowym ustalone wszystkie istotne okoliczności w jakich władze podjęły decyzje rozwiązań siłowych.

* nie włączono do materiału dowodowego publikacji „Naszego Dziennika” [Nowy Jork 1985], Biuletynu Łódzkiego [Łódź 1985], Tygodnika Mazowsze [Warszawa 1985] i innych not prasowych czy stenogramów audycji radiowych z lata i jesieni 1985 r. (...)

Łódź, 29 października2010

/Józef Śreniowski/



9 czerwca sąd oddalił zażalenie J.Śreniowskiego. Jak mówi ofiara pobicia: Sąd uznał, że prokuratura wystarczająco zbadała sprawę, a moje zażalenie nie zasługuje na uwzględnienie. Naoczny świadek, bity wówczas Andrzej Filipczyk, który przybył do sądu, nie został wysłuchany. Prokuratura w paroletnim zbieraniu materiałów skupiła uwagę na przekroczeniu (i nie przekroczeniu) uprawnień. Nie skonstruowała zasady, na jakiej ktokolwiek miał uprawnienia do bicia więźniów. Prokuratura dała wiarę zeznaniom bijących i ich herszta w stopniu pułkownika (posuwał się do rękoczynów osobiście), natomiast nie wzięła pod uwagę informacji bijących (1985) prasy niezależnej, krajowej i nowojorskiej. Odmówiono mi również powołania jako świadków – kapelanów więziennych, usuniętych wówczas represyjnie z więzienia łęczycyckiego: Justyniana Rosy i Andrzeja Szkarłata, przeora bernardynów łęczycykich, jak i świadka z zewnątrz, który obserwował z balkonu kamienicy rękoczyny służby więziennej (Agnieszki Maciejewskiej) i zawiadomił o nich wolny świat.

Stowarzyszenie Wolnego Słowa powstało w 2003 roku. Zrzesza uczestników opozycji demokratycznej i podziemia solidarnościowego oraz niezależnego ruchu wydawniczego i kulturalnego lat 1976-1989.

Współzałożycielami Stowarzyszenia byli nieżyjący już Jan Nowak-Jeziorański, Maciej Łukasiewicz, Krzysztof Markuszewski, Janusz Krupski, Stefan Melak, Anatol Lawina, a także m.in. Bronisław Komorowski, Zbigniew Romaszewski, Piotr Andrzejewski.

Celem działalności SWS jest integracja środowiska byłych działaczy podziemia oraz wspieranie tych z nas, którzy pozostają w trudnej sytuacji bytowej.

Stowarzyszenie monitoruje przestrzeganie wolności słowa w Polsce, zajmując stanowisko w sprawie nie tylko jej naruszeń, ale i nadużywania.

Stowarzyszenie działa także na rzecz wolności słowa w innych krajach oraz broni praw uchodźców politycznych w Polsce i działa na rzecz ich integracji.



stowarzyszenie wolnego słowa

wielkopolski i zachodniopomorski.

W ramach SWS działa też sekcja zrzeszająca dziennikarzy Radia Wolna Europa.

Stowarzyszenie zajmuje się również gromadzeniem, opracowywaniem, upamiętnianiem i upowszechnianiem wiedzy na temat działalności opozycji demokratycznej i podziemia solidarnościowego lat 1976-1989.

SWS od 2007 roku ma własną siedzibę przy ul. Marszałkowskiej 7 w Warszawie. Lokal SWS służy jako miejsce organizowania licznych imprez kulturalnych, oświatowych, naukowych i historycznych oraz spotkań różnych środowisk byłej opozycji.

Obecnie do SWS należy blisko 1000 osób z Polski oraz m.in. z Francji, Niemiec, Szwecji, Norwegii i USA. Działalność swą nasze Stowarzyszenie prowadzi w oddziałach, których jest w tej chwili 9: dołnośląski, łódzki, lubelski, małopolski, śląski, mazowiecki, toruński,

Olympus spod celi 5 (oz-1)

W maju 1982 roku do Białogłki przybył transport uczestników 3-Majowych demonstracji w Warszawie.

Do nas (Marek Drabikowski, Miętek Książczak i ja) dokwaterowano trzech nowych. Jednym z nich był Zbyszek Markiewicz.

Marchewa fotografował 3 Maja wydarzenia na Krakowskim, aparat i nasświetlone negatywy zdeponował w kościele św. Krzyża. Gdy już „czysty” wyszedł na ulicę, dopadli go zomowcy – tak trafił do Białej, cały w pręgach po pałowaniu, ale w bojowym nastroju.

Fotografia /ew koledzy fotografowie/ sprawiła się świetnie, na pierwsze już widzenie Ala, dzielna żona Zbyszka, przemyciła aparat – malutki, wyładowany elektroniką, z dobrą optyką Olympus. Zapakowany do torebki z jawkami uszedł uwadze klawiszów, mimo to otarliśmy się o wpadkę – otóż jajka się potłukły, białko załalo aparat, nastąpiło zwarcie i... rozległ się przeraźliwy elektroniczny pisk, na szczęście sekundę wcześniej klawisz zamknął za sobą drzwi celi. Dwa dni zajęło nam suszenie na słońcu tego japońskiego cudemka, zanim ożyło. Zaczęło się wielkie fotografowanie...

Zbyszek z rodziną mieszka dziś w Kanadzie, jego foty można obejrzeć na:

http://homepage.mac.com/zbi-gniew/stan_wojenny.htm

Wiesław „Stoń” Bieliński



Dzisiaj jest 1 czerwca, tak jak w 1982 roku, kiedy fotografowałem mur więzienny z łaźni w białogłeckim więzieniu. Chyba następnego dnia, Roman Miszta, szef mojej zakładowej „Solidarności” w Domu Słowa Polskiego, po swoim widzeniu zawołał ze spacerniaka, że dzień wcześniej urodziła mi się córka. Ot, taka historia, jedna z wielu, jakie każdy z nas ma w życiorysie, niekoniecznie o światowym znaczeniu.

Zbigniew M. Markiewicz (©Mark Carrot*)

STOWARZYSZENIE WOLNEGO SŁOWA

Siedziba: 00-626 Warszawa, ul. Marszałkowska 7
Nr konta: PKO S.A. 09 1240 1024 1111 0010 0741 3451 (wpłaty prosimy opatrywać dopiskiem 'składka' lub 'datek') – częściowo wypełniony, gotowy do druku blankiet wpłaty znajduje się na stronie internetowej:
Nr KRS: 000195433
www.sws.org.pl Adres e-mail: sws@sws.org.pl
Miejsce i godziny pracy sekretariatu SWS: 00-626 Warszawa, ul. Marszałkowska 7, tel. 022 405 66 30, w godzinach 10-18.

Wydawnictwo przygotowane przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa.

Redakcja: Joanna Bachtin, Katarzyna Boruń-Jagodzińska, Jacek Głzyński, Katarzyna Herman, Jan Strękowski, Małgorzata Zaremba

Redakcja dziękuje za udostępnienie zdjęć Zbigniewowi M. Markiewiczowi (©Mark Carrot*), J. Maciejowi Goliśzewskiemu/Epoka; za udostępnienie dziennika więziennego Wiktorowi Mikusińskiemu; za zgodę na przedruk wierszy i piosenek obozowych Ewie Suikowskiej-Bierezin i Ewie Rogalewskiej, autorkom książki „Orta wrona nie pokona” Czyli co pomagało nam przetrwać. Śpiewnik internowanych. (IPN Białystok 2009) Szczególne podziękowania należą się towarzyszom sztuki drukarskiej z drukarni „Efekt” - Janowi Piotrowskiemu i Tadeuszowi Markiewiczowi. Dziękujemy również wszystkim tym, o których mogliśmy w tej „Bibule” napisać.



stowarzyszenie wolnego słowa

STOWARZYSZENIE WOLNEGO SŁOWA apeluje o przesyłanie informacji związanych z prasą podziemną lat 1945-1989. Gromadzimy dokumentację (zdjęcia, skany, wspomnienia, dokumenty, wydawnictwa) dotyczącą działalności opozycji w PRL